

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLAKÓW W REPUBLICIE SŁOWACKIEJ

MONITOR

POLONIJNY



ISSN 1336-104X

ROCZNIK XXIX

PAŹDIERNIK

2024

NR 10

Październik
najpiękniejszy miesiąc
w Tatrach

str. 28

str. 15



*Jej mama Słowaczka
wybrała Polskę, ona
- Słowację*





KLUB małego POLAKA

wystartował po raz siódmy!

W siódmym roku istnienia Klubu Małego Polaka jego szeregi zasililo aż sześcioro trzylatków. Łącznie w roku szkolnym 2024/2025 na cotygodniowe polonijne zajęcia przedszkolne zapisało się szesnaścioro dzieci w wieku od 3 do 6 lat.

Cieszy fakt, że popularność Klubu Małego Polaka nie słabnie od lat. Wyraźnie widać, że wciąż jest to ważna i potrzebna inicjatywa na terenie Bratysławy i okolic, która wspiera rodziców polonijnych w wychowaniu ich pociech. Niezwykle wartościowa pozostaje również współpraca Klubu ze Szkołą Polską. Fakt korzystania ze wspólnych pomieszczeń pozwala rodzicom na zacieśnianie więzi, a maluchom na osvajanie się z rzeczywistością szkolną. Dzięki temu już kolejny rok z rzędu kilkoro wychowanków Klubu zamieniło kolorowy przedszkolny dywan na szkolną ławkę i stało się uczniami Szkoły Polskiej.

A jak wyglądało pierwsze spotkanie Klubu Małego Polaka po wakacjach? Najpierw przed prowadzącą zajęcia zasiedli... rodzice. W końcu niektórzy z nich też dopiero zaczynają przygodę z Klubikiem i muszą się trochę wzajemnie poznać. Serdeczne relacje między rodzicami i możliwość wymiany doświadczeń to zresztą jedna z dodatkowych zalet cotygodniowych spotkań przedszkolaków. Dorosłym też się czasem przydaje polonijne zaplecze.

Po zebraniu rodziców przyszła pora na zawiązanie tegorocznej grupy małych Polonusów. Ośmiu nowych członków w Klubie to nie lada wyzwanie integracyjne! W lepszym poznaniu się znakomicie pomógł dzieciom temat pierwszych zajęć, bowiem rozmawiały ze swoją prowa-



dzącą o domu. Dlaczego akurat o tym? By wiedziały, że tak jak lisy mają nory, pieski budy, a niedźwiedzie gawry, domem dla Klubowiczów raz w tygodniu staje się sala Klubu Małego Polaka. Mogą tam czuć się swobodnie i bezpiecznie, bawić się, uczyć i rozmawiać, a to wszystko w języku polskim. Niech ten nowy klubikowy rok szkolny przyniesie naszym najmłodszym wiele pięknych odkryć i przygód, a dla rodziców będzie pomocą i inspiracją do podtrzymywania więzi z Polską.

NKH

ZDJĘCIA: NATALIA KONICZ-HAMADA





Zdradzę Państwu coś zza kulis powstawania „Monitora”. Tylko proszę się nie śmiać! Wystarczy, że w takich przypadkach zawsze śmieje się grafik naszego pisma Stano Stehlik, przed którym stawiam nie lada wyzwania.

O co chodzi? Kiedy kompletuję materiały do „Monitora” i ustaliam z moimi współpracownikami tematy artykułów, bywa czasami tak, że wszystko wskazuje na to, iż tych materiałów mamy trochę mniej niż bym oczekiwała. Niby wszystko ustalone: stałe rubryki – wiadomo, coś ekstra – też mamy. Ale kiedy wydaje się, że w rubryce „Z naszego podwórka” może być luz, zaczynam się rozglądać i sięgać po inne tematy, by wzbogacić numer.

Na takim etapie informuję zazwyczaj grafika, że tym razem będzie miał większe pole do popisu. Tak, tak, graficy lubią, kiedy mogą dawać upust swojej fantazji, wzbogacając artykuły ciekawymi fotografiami, robić graficzne czary-mary. Tylko, że zazwyczaj nasz grafik zaczyna się w tym momencie śmiać. „Już teraz się boję tego numeru, bo kiedy mówisz, że będzie luz, to wiem, że będę musiał stawać na głowie, by wszystkie materiały zmieścić” – mówi wtedy. I coś w tym jest, bo ciekawe artykuły, najnowsze wydarzenia spadają nam na ostatnią chwilę z nieba!

Jak się Państwo domyślają, ten wstęp jest preludium do tego, co Państwo znajdą w październikowym numerze „Monitora”, który jest bardzo bogaty i atrakcyjny. W rubryce „Kino-oko” mamy świeżutkie informacje z Gdyni, gdzie właśnie się skończył 49. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych (str. 24). W „Wywiadzie miesiąca” przedstawiamy nową dyrektorkę Instytutu Polskiego w Bratysławie Agnieszkę Kwiatkowską (str. 5). W rubryce „Z naszego podwórka” przekazujemy kilka relacji z wydarzeń, adresowanych do dzieci polonijnych, które właśnie rozpoczęły rok szkolny (str. 2, 8 i 9). Informujemy też o przygotowywanym jubileuszu 100-lecia polonistyki na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie (str. 14). Przynosimy relację z Narodowego Czytania „Kordiana” Juliusza Słowackiego (str. 13). Z kolei relacja z Koszyc zawiera echa wspaniałego koncertu „Za górami, za lasami, za Tatrami” Klubu Polskiego i redakcji koszyckiej rozgłośni radiowej (str. 10). Również z Koszyc pochodzi historia miłosna Heleny i Bartolomeja Gereców, opisana w rubryce „Co u nich słycać?” (str. 15). Mamy też relację z imprezy w Trenczynie – i to jakiej! Otóż po raz pierwszy odbyły się tam „Szanty na Wagu”! (str. 12).

W rubryce poświęconej 30-leciu Klubu Polskiego rozmowa z pierwszą nauczycielką języka polskiego, która integrowała środowisko polonijne (str. 29).

Dodam jeszcze, że mamy też coś dla miłośników zbliżającego się Halloween i to w kontekście pewnego polskiego zamku! (str. 18). A jak mowa o atrakcjach turystycznych, to tym razem zapraszamy Państwa do Kláštoru pod Znievom (str. 26) i w Tatry, które w październiku są najpiękniejsze (str. 28). Zainteresowanym muzyką przypominamy wielką gwiazdę, a jak twierdzi autor rubryki „Czułym uchem”, po prostu ikonę – Edytę Bartosiewicz (str. 22).

Proszę Państwa, sporo tego. Jest w czym wybierać, jest się na co cieszyć. Tylko proszę nic nie mówić grafikowi, bo będzie się śmiać.

Zyczę miłej lektury

M. Wojcieszńska



SPIS TREŚCI

Przepis na szczęście? 4

Trzy dekady, jeden cel, czyli jubileusz pełen pokoleniowej integracji 4

Z KRAJU 4

WYWIAD MIESIĄCA

W przededniu jubileuszu 75-latka. Rozmowa z Agnieszką Kwiatkowską, nową dyrektorką Instytutu Polskiego w Bratysławie 5

Z NASZEGO PODWÓRKA 8

CO U NICH SŁYCHAĆ?

Jej mama Słowaczka wybrała Polskę, ona – Słowację 15

Ostatnia czarownica 18

ROZMOWY NA TEMAT SPORTOWY

Nasi w zagranicznych dresach – żal czy duma? 20

ROZMOWY Z NINĄ

Maska tlenowa, wenflon i... parówki 21

CZUŁYM UCHEM

Po prostu ikona 22

BLIŻEJ POLSKIEJ KSIĄŻKI

Nasze rany codzienne 22

KINO-OKO

49. festiwal polskiego kina w Gdyni 24

SŁOWACKIE PEREŁKI

Ławeczka z widokiem na przeszłość 26

RETROHITY

Propaganda w nakładzie 1,5 miliona 27

Październik – najpiękniejszy miesiąc w Tatrach 28

OGŁOSZENIA 29

PIĘKNY TRZYDZIESTOLETEK

Szkółka miejscem spotkań nie tylko dzieci 29

MIEDZY NAMI DZIECIAKAMI

Uśmiechnij się! 31

PIEKARNIK

Brzuchata piękność 32

ŠÉFREDAKTORKA: Małgorzata Wojcieszńska • **REDAKCJA:** Agata Bednarczyk, Łuaksz Cupal, Andrej Ivanič, Alina Kabele, Alina Kietrys, Natalia Konicz-Hamada, Arkadiusz Kugler, Ewa Sipos, Magdalena Zawistowska-Olszewska **KOREŠPONDENTI:** KOŠICE: Magdalena Smolińska **TRENČÍN:** Aleksandra Krcheň • **JAZYKOVÁ ÚPRAVA V POLŠTINE:** Maria Magdalena Nowakowska, Małgorzata Wojcieszńska **GRAFICKÁ ÚPRAVA:** Stano Stehlik **ZAKLADAJÚCA ŠÉFREDAKTORKA:** Danuta Meyza-Marušiaková † (1995 - 1999) • **VYDAVATEL:** POĽSKÝ KLUB **ADRESA:** Nám. SNP 27, 814 49 Bratislava • **IČO:** 30 807 620 • **KOREŠPONDENČNÁ ADRESA:** Małgorzata Wojcieszńska, Senecká 162, 930 41 Kvetoslavov, monitorpolonijny@gmail.com **BANKOVÉ SPOJENIE:** Tatra banka č.ú.: SK60 1100 0000 0026 6604 0059 • EV542/08 **ISSN 1336-104X** • Redakcia si vyhradzuje právo na redigovanie a skracovanie príspevkov • náklad 550 ks • nepredajné

• Realizované s finančnou podporou Fondu na podporu kultúry národnostných menšín • „Projekt finansovaný ze zdrojův Kancelarii Prezesa Rady Ministrůw w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2024”.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorarów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Laureat Nagrody im. Macieja Płażyńskiego w kategorii redakcja medium polonijnego 2013

Ydané 2. 10. 2024

Bieżący rok, a szczególnie październik, to wyjątkowy czas dla Klubu Polskiego na Słowacji, który obchodzi swoje 30-lecie. Trzy dekady działalności tej organizacji to nie tylko okazja do świętowania, ale także moment refleksji nad znaczeniem liczby 30, zarówno w kontekście samej organizacji, jak i w szerszym ujęciu kulturowym, historycznym i tradycyjnym. Liczba ta symbolizuje dojrzałość, cykliczność, rozwój oraz pełnię, co doskonale oddaje historię Klubu Polskiego, jego misję i wpływ na polską diasporeę na Słowacji.

W wielu kulturach liczba 30 odgrywa istotną rolę. Uznawana jest za symbol dojrzałości i stabilizacji, co doskonale wpisuje się w obecny etap działalności Klubu Polskiego na Słowacji. W starożytnym Egipcie i Mezopotamii 30 dni wyznaczało pełen miesiąc, co miało ogromne znaczenie w codziennym życiu, zwłaszcza w rolnictwie, które opierało się na obserwacji nieba i zmieniających się fazach Księżyca.

W średniowieczu wierzono, że w wieku 30 lat człowiek osiąga szczyt swojej siły fizycznej i intelektualnej. Podobnie w tradycji chrześcijańskiej – Jezus rozpoczął swoją publiczną działalność w wieku 30 lat, co symbolizowało moment pełnej dojrzałości.



Trzy dekady, jeden cel

Jubileusz pełen pokoleniowej integracji

Dla Klubu Polskiego 30 lat to czas, w którym organizacja zdobywała doświadczenie, ugruntowywała swoją pozycję w społeczności polonijnej i słowackiej, stając się ważnym punktem odniesienia dla mieszkających tu Polaków. To trzy dekady, podczas

których Klub stopniowo rozbudowywał swoje struktury, poszerzał działalność i zyskiwał uznanie, stając się stabilną organizacją, pełniącą kluczową funkcję kulturalną i społeczną.

Założony w 1994 r. przez grupę entuzjastycznych Polaków Klub miał na



31 sierpnia w Gdańsku odbyły się uroczystości związane z upamiętnieniem **44. ROCZNICY** podpisania porozumień sierpniowych. W obchodach przed legendarną bramą Stoczni Gdańskiej wzięli udział przedstawiciele rządu, prezydenci Gdańska Aleksandra Dulciewicz oraz Warszawy Rafał Trzaskowski, małżonka historycznego przywódcy

cy "Solidarności" Lecha Wałęsy - Danuta Wałęsa oraz działacze ówczesnych Wolnych Związków Zawodowych, senator, Bogdan Borusewicz.

Prezydent Andrzej Duda w rocznicę podpisania **POROZUMIEN SIERPNIOWYCH** uczestniczył w uroczystym spotkaniu Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność”. Zwrócił uwagę, że to jego ostatnia obecność na uroczystościach podpisania Porozumień Sierpniowych jako głowy państwa. Jak dodał, zawsze słuchał głosu Solidarności i każda władza jest do tego zobowiązana.

1 września, w **85. ROCZNICĘ** wybuchu II wojny światowej odbyły

się uroczystości na gdańskim Westerplatte oraz w Wieluniu (Łódzkie). Premier Donald Tusk na Westerplatte mówił, że nie może już tak więcej być w historii, że Polska będzie samotnie stawiała czoła. Dodał, że "lekcja Westerplatte, lekcja II wojny światowej to nie jest abstrakcja, karty podręczników". Prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości w Wieluniu oświadczył: "Mówimy: nigdy więcej wojny, mówimy: nigdy więcej nie może być na to zgody świata".

13 września zmarł **PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ**, seksuolog, psychiatra i psychoterapeuta, propagator edukacji seksualnej. Miał 80 lat. W latach 1995-1996 był

ekspertem Ministerstwa Edukacji Narodowej w zakresie edukacji seksualnej, a w 1996-1998 liderem programu edukacji seksualnej ONZ. W 1994 r. został powołany na krajowego konsultanta z zakresu seksuologii. Był autorem i współautorem kilkuset publikacji z zakresu seksuologii i psychiatrii oraz kilku tysięcy artykułów popularnonaukowych.

W połowie września tereny południowo-zachodniej Polski nawiedziła **KATASTROFALNA POWÓDŹ**. Powódzie dotknęły także inne kraje regionu, m.in. Austrię, Czechy i Słowację. W Polsce najdramatyczniejsza sytuacja miała miejsce w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie zniszczone zostały m.in. Kłodzko,

celu stworzenie przestrzeni do pielęgnowania polskiej kultury, tradycji oraz języka na obczyźnie. Pierwsze lata działalności były czasem wyzwań, budowania zaufania i nawiązywania kontaktów, które z czasem zaowocowały dynamicznym rozwojem organizacji.

Dziś, po trzech dekadach, Klub Polski osiągnął pełną dojrzałość i odgrywa kluczową rolę w integrowaniu polskiej społeczności. Jest miejscem, gdzie Polacy chętnie się spotykają, dzielą swoimi doświadczeniami i wspólnie celebrować polskie tradycje. Klub oferuje wiele ciekawych i różnorodnych wydarzeń kulturalnych oraz edukacyjnych, promując polską literaturę, sztukę i muzykę. Organizuje spotkania autorskie, koncerty i wystawy, które nie tylko zbliżają Polaków i Słowaków, ale także budują mosty międzykulturowe.

Obchody jubileuszu Klubu Polskiego na Słowacji to czas pełen symboliki i refleksji. Trzydzieści lat jego działalności to okres budowania dobrych relacji polsko-słowackich, pielęgnowania kultury i tożsamości, a także tworzenia przestrzeni do dialogu. To także dowód na to, że Polacy, nawet poza granicami kraju, potrafią tworzyć silne i aktywne wspólnoty, wzbogacając kulturę i społeczeństwo kraju, w którym żyją. **MZO**

W przededniu jubileuszu 75-latka

WYWIAD
MIESIĄCA

Rozmowa z Agnieszką Kwiatkowską, nową dyrektorką Instytutu Polskiego w Bratysławie



Obejmuje Pani stanowisko dyrektorki Instytutu Polskiego w Bratysławie po dyrektorkę Piotrze Drobniaku, podobnie jak przed laty w Pradze. Można zatem mówić o sztafecie, która wygrywa?

Coś w tym jest. To słowo, którego pani użyła, dosyć dobrze oddaje sytuację. Ta swoista sztafeta – w Pradze i w Bratysławie – wynika z tego, że my lubimy Europę Środkową, współpracę między Polską a Czechami oraz Polską a Słowacją. To nas interesuje. To nam daje satysfakcję. Wybieramy te miejsca, które są nam bliskie, gdzie możemy dać z siebie wszystko. Jedziemy do kraju, który lubimy, którego język znamy – i wtedy ta praca jest bardziej efektywna.

Łądek-Zdrój oraz Stronie. Tragiczne w skutkach okazała się także powódź w Głuchołazach (Opolskie). Powódź, która jest porównywana do tej z 1997 r., oszczędziła tym razem Wrocław. Stało się tak m.in. dzięki zbiornikowi w Raciborzu Dolnym. Z żywiołem zmagali się woj. dolnośląskie, śląskie, opolskie oraz lubuskie. Ponieważ powódź dotknęła tereny przygraniczne, odwołane zostały połączenia kolejowe między Polską i Czechami.

Rząd zapewnił 2 mld zł na usuwanie skutków powodzi. Od 23 września na terenach popowodziowych ruszyła **OPERACJA „FENIKS”**, która ma się koncentrować na odbudowie infrastruktury, ograniczeniu

ryzyka przyszłych powodzi oraz wsparciu ludności cywilnej. Do tej operacji wydzielono 26 tys. żołnierzy.

18 września w wieku 76 lat zmarł **FELICJAN ANDRZEJCZAK**, w latach 1982-83 związany ze słynną grupą Budka Suflera. Współautor utworów „Jolka, Jolka pamiętasz” i „Czas Komety”, które stały się wielkimi przebojami. Został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Świebodzinie.

19 września Wrocław odwiedziła szefowa Komisji Europejskiej **URSULA VON DER LEYEN**, która zadeklarowała, że oprócz środków z Funduszu Solidarności na wsparcie krajów dotkniętych powodzią

przeznaczone zostanie 10 mld euro z Funduszu Spójności z prefansowaniem. Będzie to stu procentowe finansowanie, bo czas jest wyjątkowy - oświadczyła. W spotkaniu oprócz premiera Donalda Tuska uczestniczyli też kanclerz Austrii Karl Nehammer, premier Czech Petr Fiala i premier Słowacji Robert Fico.

18 września **KOMISJA OSCAROWA** pod przewodnictwem Pawła Pawlikowskiego ogłosiła, że polskim kandydatem do Oscara w kategorii najlepszy pełnometrażowy film międzynarodowy jest film „Pod wulkanem” Damiana Kocura. Film opowiada losy ukraińskiej rodziny, którą wybuch wojny zastaje na Teneryfie. 97. gala wręczenia na-

gród Amerykańskiej Akademii Wiedzy i Sztuki Filmowej odbędzie się w nocy z 2 na 3 marca 2025 r.

20 września w wieku 94 lat zmarła w Warszawie aktorka teatralna i filmowa **BARBARA HORAWIANKA**, znana m.in. z filmów: „Pociąg”, „Samotność we dwoje”, „Kochankowie z Marony”, a także seriali: „Stawka większa niż życie”, „W labiryncie”, „Plebani”. W 2007 r. otrzymała Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a w 2013 za wybitne zasługi dla kultury polskiej i osiągnięcia w twórczości artystycznej, a także działalność na rzecz przemian demokratycznych została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

MP

Są Państwo naszymi sojusznikami w propagowaniu Polski.

Jak większość dyplomatów przyjeżdżających z placówki w Pradze zapewne zna Pani czeski. Czy stawia Pani także na słowacki?

Byłam w Czechach sześć lat, najpierw jako pracownik ambasady, następnie jako zastępca dyrektora i dyrektor w Instytucie Polskim. Pracując w ambasadzie, obracając się w środowisku dyplomatów, nie odczuwałam aż tak mocnej potrzeby znajomości języka czeskiego, bo większość korpusu dyplomatycznego porozumiewała się językiem angielskim. Ale kiedy rozpoczęłam pracę w Instytucie Polskim, poczułam wielką potrzebę i chęć, by bardzo szybko nauczyć się czeskiego. Tu, mam nadzieję, będzie tak samo. Zresztą już podjęłam kroki, żeby uczyć się słowackiego. Choć czeski i słowacki to podobne języki, to czasami ta bliskość bywa przeszkodą. Mam nadzieję, że szybko opanuję tajniki słowackiego, bo z partnerami chciałabym porozumiewać się w ich ojczystym języku. Na razie radzę sobie po czesku i cieszę się, że wszyscy mnie rozumieją.

Coś Panią zaskoczyło przy zestawieniu czeskiego ze słowackim?

Dostrzegam różnice – niektóre słowa, które znam z czeskiego, znaczą coś innego. Na przykład *robić* czy *stuchać* to zupełnie inne słowa, na które muszę uważać. Wszyscy traktują mój czeski bardzo życzliwie, zwłaszcza starsze pokolenie. Młodsze też bardzo się stara.

Dość często polscy dyplomaci po misji w Pradze przyjeżdżają na placówkę do Bratysławy. Nasuwa się więc pytanie, czy dlatego, że praca w Czechach jest trudniejsza, więc tu mogą sobie odpocząć, czy też odwrotnie – w Pradze przeszli chrzest bojowy, by tu wykorzystać wszystkie swoje umiejętności?

Myślę, że ten ruch nie jest taki jednostronny, bo są również dyplo-

maci, którzy zaczynali swoją misję w Bratysławie, by potem pojechać do Pragi i takich sytuacji jest mniej więcej pół na pół. To, że ktoś pracował w Bratysławie i w Pradze, to kwestia doceniania obu tych krajów i satysfakcji z pracy na tych terenach.

Lokalizacja i dostępność Instytutu Polskiego w Bratysławie jest fantastyczna w porównaniu z instytutami w innych krajach.

Jak Pani zamierza to wykorzystać?

Tak, to wielki atut. Jesteśmy tu wiele lat, wszyscy znają to miejsce. Tu jest przepiękna, łatwo dostępna galeria. Będę chciała wraz z moim zespołem kontynuować pracę poprzedników, organizując wystawy, koncerty, spotkania z ciekawymi ludźmi. Stawiam również na współpracę z Polakami, z Klubem Polskim, który organizuje tu bardzo ciekawe przedsięwzięcia. Są Państwo naszymi sojusznikami w propagowaniu Polski w Bratysławie i nie tylko.

Co w przygotowaniu na najbliższe miesiące?

Będzie polski film, będą wystawy, bierzemy udział w Białych Nocach, Miesiącu Fotografii. W październiku będzie w Bratysławie ciekawa wystawa śląskich prymitywistów, a w Preszowie razem z władzami miasta i uniwersytetem organizujemy Dni Polskie. W listopadzie będziemy świętować stulecie języka polskiego na Uniwersytecie Komeńskiego. To ważne dla naszych dwustronnych stosunków, by celebrować takie rocznice. Istotne jest też to, że mamy projekty w całej Słowacji – i w największych miastach i w tych mniejszych – bo staramy się dotrzeć wszędzie i do wszystkich z naszą opowieścią o Polsce.

Każdy z dyrektorów Instytutu kładzie nacisk na to, co bliskie jego sercu.

Co to jest w Pani przypadku?

Współpraca z młodymi artystami. Uważam, że młodzi ludzie na

początku swojej kariery w obszarze kultury, sztuki, muzyki potrzebują szans, by mogli się dalej rozwijać. Chętnie wspieram młode pokolenie, ludzi, którym się chce, którzy mają pomysły. Kontakt z kolegami z zagranicy jest dla nich bardzo ważny, więc chcę im to umożliwić. Mam nadzieję, że za 20 lat ci ludzie będą tu jak u siebie, współpracując z tutejszymi artystami. Uważam też, że ważne jest wspomnianie i rozumienie naszej historii, a ponieważ Polacy są mistrzami w łączeniu historii z nowymi trendami, co widać w muzyce, w której potrafią wykorzystywać folklor, to także taki aspekt kulturalny jest bliski mojemu sercu.

W przyszłym roku Instytut Polski będzie obchodził 75-lecie powstania.

Jak wyglądają przygotowania do tak ważnego jubileuszu?

Mamy pomysły, ale nie chciałabym jeszcze zdradzać szczegółów. Chcę, żeby to była niespodzianka. Instytut Polski to symbol naszej współpracy ze Słowakami.

To proszę chociaż zdradzić, których dziedzin kultury będzie dotyczyć ta uroczystość? Czy szykują Państwo wielką galę?

Chcemy się raczej skupić na przykładach naszej najlepszej współpracy. Nie sądzę, by dla naszego świętowania była konieczna jakaś gala. Wartościowsze wydaje mi się przypomnienie historii naszej współpracy, co mogłoby być opowiedziane w nowy, kreatywny sposób, tak, by ta opowieść zapadła w pamięć. To będzie duże wyzwanie.

To jeszcze podpytam, na kiedy planowane jest to wydarzenie?

Myślę, że to będzie w drugiej połowie przyszłego roku, raczej na jesieni, co związane jest z dynamiką kalendarza wydarzeń – właśnie jesienią publiczność oczekuje bogatej oferty kulturalnej.

Polacy są mistrzami w łączeniu historii z nowymi trendami.

Obejmując stanowisko dyrektora Instytutu Polskiego w Bratysławie otrzymała Pani informację, że stanowisko zastępcy zostało zlikwidowane. Jak to wpłynie na pracę tej placówki kultury?

Faktycznie, Instytut ma teraz jednego dyplomata – dyrektora – ale to nie jest jakaś wyjątkowa sytuacja. Jest taki trend, który wynika z racjonalizacji wydatków i podejścia nowego kierownictwa do całości kształtu działań polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na świecie jest ponad 20 instytutów i są wśród nich takie, które mają jednego dyrektora. Tak jest np. w Sofii. Instytuty innych krajów działają w podobnej formule. Dla publiczności nic się nie zmieni. Instytut ma wspaniałych pracowników, którzy są kreatywni, mają pamięć instytucjonalną i oni również odpowiadają za program i jego jakość. Program

Instytut Polski to symbol naszej współpracy ze Słowakami.

jest wynikiem pracy zespołu, który daje lepszy wynik niż praca jednostki. Najważniejsze są dobre pomysły i działania.

Wiadomo, zmiana jest naturalnym procesem i – jak mówi przysłowie – jest jedynym pewnikiem w życiu.

Jak się Pani odnalazła w Bratysławie?

Bratysława to wspaniałe miasto, pełne pięknej architektury. Jest tu dużo miejsc do odkrycia.

Czuję się tu bardzo dobrze od pierwszego dnia. Lubię spacerować po mieście. Wtedy chętnie zatrzymuję się przed różnymi instytucjami i zapoznaję się z ich ofertami kulturalnymi. Ponieważ przyjechałam tu latem, śledziłam

plakaty *Kulturnego leta*. Byłam na występie *Lúčnicy*, na który przyszło mnóstwo ludzi. Koncert był wspaniały!

Ma Pani już jakieś swoje ulubione miejsca?

Za każdym razem, gdy spaceruję po mieście, odkrywam coś nowego. Lubię uliczki Starego Miasta i *Slavín*. Odkrywam go także dzięki książce „*Wille pod Slavínem*“, dzięki której poznaję historię różnych domów i miejsc. No i są tam piękne stare ogrody ze wspaniałymi figami i gruszami – tego się nie zobaczy w wielkich metropoliach. Wielu moich znajomych i przyjaciół, dowiedziawszy się, że tu pracuję, jest ciekawa tego miasta. Naturalnie większość turystów najpierw odwiedza Pragę, która jest bardzo popularna. Bratysława to perełka. Jak już wszyscy wszystko zwiedzą, to pragną czegoś nowego i Bratysława właśnie jest takim miejscem dla podróżników, którzy szukają miejsc nieoczywistych.

Zasmakowały Pani *halušky*?

To jedno z pierwszych dań, którego spróbowałam. Będę je polecać wszystkim moim znajomym, odwiedzającym Bratysławę, bo turystyka kulinarna jest elementem poznawania miejsc.

Przyjechała Pani do Bratysławy z rodziną?

Z mężem, bo moja córka właśnie zaczyna studia i swoje dorosłe życie. Będzie studiowała w Polsce. To dla nas wszystkich nowe doświadczenie. Na poprzedniej placówce byłam z małym dzieckiem i to było duże wyzwanie, by połączyć pracę zawodową z rolą mamy, dlatego potrafię docenić rodziców małych dzieci – oni są najlepiej zorganizowanymi ludźmi na świecie!

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA

ZDJĘCIE: STANO STEHLIK

W Polskim Przedszkolu w Żylinie, choć działa tylko w wybrane soboty, obserwujemy duży ruch podobnie jak w szkołach codziennych czy to w Polsce, czy na Słowacji. Niektóre dzieci wyrastają i kończą edukację, z kolei nowe dołączają do naszej grupy. Większość z nich pochodzi z Żyliny lub Kysuc.



Nowi uczniowie zostali powitani też brawami. Żeby na początku nie czuły się onieśmiałe czy zawstydzone, przedstawiliśmy im naszą maskotkę – sowę Bonitkę, która zawsze sprawia dzieciom radość. Maluchy stworzyły również swoje własne sówki, rysując je na papierze, co wszyscy zebrani przywitani z uśmiechem.

Prezes stowarzyszenia Silvia Subiak Wtoreková z radością poinformowała rodziców o nowych planach i projektach, także wyjazdowych – do Bratysławy i Polski, ale najbardziej radosną wiadomością jest ta, że Polonia na północy Słowacji rośnie i nie ma nic lepszego niż wspólna praca, bo im więcej głów, tym więcej pomysłów i tym więcej radości. **RED.**

Małe Bonitki z Żyliny

Stowarzyszenie „Bonita” i Polskie Przedszkole powitały 21 września czterech nowych przedszkolaków w wieku od 3-6 lat. Jak powitały? Polskim hymnem! A jakie byłyoby to

przedszkole, gdyby na dzieci nie czekały prezenty powitalne z niespodziankami.



ZDJĘCIA: ARCHIWUM BONITY

Dwa powstania dwóch sąsiednich narodów



ZDJĘCIA: ARCHIWUM IS

W Instytucie Słowackim w Warszawie z okazji 80. rocznicy wybuchu słowackiego powstania narodowego i powstania warszawskiego odbył się wykład, który wygłosił dr Paweł Ukielski – zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego.

Wciągające wystąpienie wybitnego polskiego historyka i politologa, poró-

wnujące oba antyfaszystowskie powstania dwóch sąsiednich narodów, zostało uzupełnione przejrzystą prezentacją zdjęć, map i dokumentów historycznych. Po wykładzie odbyła się interesująca dyskusja na temat przyczyn, przebiegu i konsekwencji obu powstań.

Wydarzenie zostało zorganizowane przez Instytut Słowacki w Warszawie w ramach cyklu wykładów i prezentacji poświęconych ważnym wydarzeniom i postaciom z historii Słowacji i Polski.

IS

Pierwszy dzień w Szkole Polskiej

Co wspólnego ma pies, który jeździł koleją, z Kordianem z dramatu Juliusza Słowackiego? Z pozoru nic. Obie postaci są bohaterami utworów, które pojawiły się w Szkole Polskiej w Bratysławie podczas uroczystości rozpoczęcia nowego roku szkolnego, która odbyła się 7 września.

Był to doskonały pomysł na popularyzację czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży. Spotkanie otworzył dyrektor szkoły Krzysztof Gruca. Następnie konsul RP Artur Łukiańczuk odczytał list prezydenta RP Andrzeja Dudy z okazji Narodowego Czytania.



Nauczycielka języka polskiego Marzanna Danek-Hnelozub wprowadziła zebranych w tematykę dzieła Juliusza Słowackiego „Kordian”, po czym odczytane zostały jego wybrane fragmenty. Z kolei nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej Bożena Miczek-Majka zabrała uczniów w podróż razem z psem, który jeździł koleją.

Po części oficjalnej nastąpił miły moment, podczas którego uczniowie mogli spotkać się w klasach i podzielić się swoimi wspomnieniami z wakacji.

RED.



ZDJĘCIA: JOANNA GRUCA I BOŻENA MICZEK-MAJKA



Z NASZEGO



PODWÓRKA



NIEZAPOMNIANY KONCERT „ZA GÓRAMI, ZA LASAMI, ZA TATRAMI”



Choć od wydania płyty „Za górami, za lasami, za Tatrami” minęło już sześć lat, jej wspaniałe dźwięki wciąż wzruszają i inspirują. Można było się o tym przekonać w sobotni wieczór, 7 września, w Dużej Sali Słowackiego Radia w Koszycach, która ożyła brzmieniami tej niezwykle muzycznej opowieści, łączącej polsko-słowackie tradycje i kultury.

Ten wyjątkowy koncert, zorganizowany przez świętujący swoje 30-lecie Klub Polski, Redakcję Programów Narodowościowych, Radio Patria pod patronatem konsula honorowego RP w Koszycach Konrada Schonfelda, nie tylko przypomniał o sukcesie pierwszej autorskiej płyty Klubu Polskiego na Słowacji, nagranej w studiu Rastislava Dubovskiego, ale również podkreślił siłę muzyki, stanowiącej most pomiędzy narodami.

Na scenie Słowackiego Radia w Koszycach wystąpili muzycy zespołu JaBlCo w składzie: Miro Kyselica (gitarra), Janko Moravek (pianino, śpiew), Tomáš Letenay (perkusja), Viktor Vlasák (gitarra basowa, śpiew), Stano Stehlik (flet, kompozytor), a także kwartet Laugaricio w składzie: Marek Berky (skrzypce), Ivanna Petrishak (skrzypce), Marina Petrenko (altówka) i Ludmila Szatvanyiova (wiolonczela). Towarzyszyli im polscy wokaliści: Ewa Sipos, Łukasz Cupał i Tomasz Olszewski.

Artyści zaprezentowali utwory z płyty „Za górami, za lasami, za Tatrami” w nowych aranżacjach, wzbogaconych głównie dzięki kwartetowi

Laugaricio, który dodał projektowi muzycznemu nowej głębi. Kwartet smyczkowy został bowiem wyposażony w świeże partytury – aranżacje przygotowane przez Adriana Harvana, które nadały utworom wyjątkowy charakter, wprowadzając oryginalne brzmienie i odkrywając przed słuchaczami nowe odcienie dobrze znanych już melodii.

Kluczową rolę projektu – jako organizator i lider artystyczny – pełnił kompozytor płyty Stano Stehlik. Przez kilka miesięcy pracował on z Adrianem Harvanem nad nowymi aranżacjami utworów, a także koordynował próby z muzykami, wokalistami oraz kwartetem smyczkowym.





To na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za artystyczny kształt całego przedsięwzięcia, co zaowocowało podczas tego wyjątkowego koncertu.

Od pierwszych dźwięków publiczność przeniosła się w świat pełen wspomnień, ale i świeżych emocji. Koncert rozpoczął utwór „Walc dla motyla” w wykonaniu Ewy Sipos i Viktora Vlasáka. Z kolei tytułowy utwór „Za górami, za lasami, za Tatrami” był muzyczną podróżą przez tradycje i historie, głęboko zakorzenione w kultu-



rach obu narodów. Wśród licznych kompozycji, które zabrzmiały tego wieczoru, kilka szczególnie przypadło do gustu słuchaczom, jak choćby „Dworzec Główny” z mocnym rockowym głosem Łukasza Cupała czy „Cztery pory roku”, będące jednym z najczęściej odtwarzanych utworów na platformie muzycznej. Nie zabrakło także nastrojowych kompozycji „Chce się żyć” i „Gdyby zmysły prysły”, a także genialnie zaaranżowanego „C'est la vie”. Ciekawym akcentem była „Piosenka kulinarna”, która wprowadziła wszystkich w smakowity nastrój.

Wyczekiwany przeze mnie podczas koncertu utworem był „Ranny let”. Na płycie bowiem zyskał on wyjątkowy charakter dzięki subtelnemu głosowi Dominiki Morávkovej, która w duecie z Tomkiem Olszewskim stworzyła magiczny obraz miłości. Tym razem, na żywo, w Koszycach

utwór ten zaśpiewali Ewa Sipos i Janko Moravek. Choć ich wykonanie było pełne emocji i staranności, a głosy współbrzmiały w harmonii, oddając istotę kompozycji, to nie do końca udało się im w pełni odtworzyć specyficzną wyjątkowość wersji oryginalnej, zapisanej na płycie.

Jednym z najczęściej wymienianych po koncercie przez publiczność utworów było fantastyczne „Good Morning”, które swoją bluesową melodią wprowadziło słuchaczy w doskonały nastrój. Jego rytmiczna struktura i subtelne, a zarazem żywiołowe wykonanie przez Ewę Sipos i Viktora Vlasáka sprawiły, że utwór zapewne na długo zapadł w pamięci słuchaczy.

Również dynamiczne, taneczne rytmy, charakterystyczne dla piosenki „Bossa nova z Kwiatuskowa”, dodały koncertowi radości i energii. Sporo entuzjazmu wzbudził utwór „Latino Baltico”, który dzięki latynoskiej nucie porwał publiczność.

Zaskoczeni bogactwem brzmień i różnorodnością aranżacji goście nie szczędzili słów uznania dla artystów. Wiele osób przyznało, że to właśnie wydana w 2018 r. płyta „Za górami, za lasami, za Tatrami” jest ich ulubioną spośród wszystkich dotychczas wydanych przez Klub Polski. Koncert poprowadziła Małgorzata Wojcieszńska, autorka większości tekstów.

Każdy dźwięk, każda nuta oraz emocje towarzyszące temu wyjątkowemu spotkaniu zostały zarejestrowane i wkrótce będą udostępnione na falach radiowych, a także w Słowackiej Telewizji.



Po koncercie, na przyjęciu, zorganizowanym przez konsula honorowego RP w Koszycach, Konrada Schonfelda, zarówno artyści, jak i goście wymieniali się swoimi muzycznymi spostrzeżeniami i doznaniem, oglądając teledyski do utworów zaprezentowanych podczas występu na żywo. Spotkaniu dodatkowego smaku dodały wybitny sernik z musem malinowym, wyborny bigos oraz pyszne pierogi.

Koncert był muzyczną podróżą po kulturze dwóch krajów, wplecionej w pięknie brzmiącą płytę „Za górami, za lasami, za Tatrami”. A cały wieczór stanowił dowód, że polsko-słowacka przygoda muzyczna, opowiedziana sześć lat temu, wciąż brzmi pełną mocą.

MZO, Koszyce



Pierwsze Szanty na Wagu w Trenczynie



Z NASZEGO



PODWÓRKA

Przeżyliśmy niezapomniany dzień na wodzie, a było to 19 września. Wtedy właśnie odbyły się pierwsze „Szanty na Wagu” w Trenczynie, przy nowej przystani Term-in-all. W wydarzeniu tym udział wzięło aż

23 członków Klubu Polskiego z Trenczyna i okolicy, którzy niezwykle podniekcytowani znaleźli się na pokładzie nowego statku „Dominik”. Oprócz miłego spotkania i biesiadowania z przyjaciółmi, mogli również pośpiewać pieśni morskie – szanty.

Wrześniowe słońce świeciło pełną mocą, tworząc idealne tło dla spotkania na Term-in-alli. Po krótkim instruktażu z zakresu bezpieczeństwa mógł się rozpocząć rejs o nazwie „W kręgu czterech mostów”. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc na pokładzie odbyły się jego dwie tury.

Trasa oferowała wyjątkowy widok na miasto Trenczyn i prowadziła pod wszystkimi jego mostami. Dzieci mogły spróbować, jak mie-

rzy się głębokość wody za pomocą tradycyjnej metody zanurzania długiej liny z ciężarkami i węzłami w celu określenia głębokości.

Statek „Dominik” jest spełnieniem moich marzeń z dzieciństwa. Ma 12 miejsc, a dzięki solidnemu dachowi i zamykanym ścianom bocznym może przewozić pasażerów nawet w chłodniejsze dni. Podczas rejsów opowiadam wycieczkowiczom o projekcie „Váh to the Sea – Wagiem do morza”, którego celem jest pokazanie możliwości rzeki Wagu.

Wierzę, że jesień w Trenczynie upłynie pod znakiem rejsów statkiem „Dominik” i że czytelnicy „Monitora” również zdecydują się doświadczyć magii jesiennej atmosfery na wodzie.

Więcej informacji można znaleźć na stronie www.armanis.sk. Czekamy na Państwa wizytę.

MARTIN PAVLÁSEK

kapitan statku „Dominik”



W imieniu członków Klubu Polskiego w Trenczynie i uczestników spotkania, chciałabym serdecznie podziękować pomysłodawczyni i organizatorce Tereni Pavláskovej oraz jej synowi Martinowi, który jako kapitan umożliwił nam rejs jego statkiem i przeżycie niezapomnianego wieczoru w gronie przyjaciół.

Renata Straková



ZDJĘCIA: MÁRIAN PAVLÁSEK, RENATA STRAKOVÁ, GRUPOWE ZDJĘCIE: KATARÍNA MATEJKOVÁ





KORDIAN w Bratysławie

Narodowe Czytanie, czyli objęta patronatem prezydenta RP akcja społeczna, polegająca na wspólnym czytaniu wybranego dzieła literatury polskiej, doczekała się w tym roku już trzynastej edycji. Tym razem na tapet wzięto jedną z najważniejszych lektur polskiego romantyzmu – „Kordiana” Juliusza Słowackiego. Główną odsłonę wydarzenia w naszym regionie jak co roku zorganizował Instytut Polski w Bratysławie. Do udziału – z okazji obchodzonego w tym roku trzydziestolecia najstarszej polskiej organizacji



ZDJĘCIA: STANO STEHLIK



działającej na terenie Słowacji – zaprosił lokalnych przedstawicieli Klubu Polskiego.

We wspólnym czytaniu wzięło udział aż dwunastu wykonawców, którzy zaprezentowali łącznie ponad dwadzieścia ról. W postać tytułową znakomicie wcielił się Piotr Chrzanowski. Towarzyszyli mu: Natalia Koniecz-Hama-

da, Margaréta Štrbová, Małgorzata Wojcieszewska, Beata Wojnarowska, Alicja Zima, Tomasz Fijołek, Cezary Godlewski, Arkadiusz Kugler, Hubert Matwij, Tomasz Olszewski i Piotr Starosielec. Wszyscy występujący włożyli ogromną pracę w przybliżenie współczesnemu odbiorcy rozterek i dylematów, towarzyszących głównemu bohaterowi dramatu, oraz pokazanie aktualności utworu i swoistej uniwersalności niektórych zawartych w nim prawd mimo upływu 190 lat od jego premiery i znaczącej zmiany okoliczności historycznych, społecznych i politycznych.

Występ poprzedziło odczytanie przez nową dyrektorkę Instytutu Agnieszkę Kwiatkowską listu okolicznościowego, napisanego z tej okazji przez prezydenta RP Andrzeja Dudę, zaś Małgo-

rzata Wojcieszewska przybliżyła treści zawarte w „Kordianie”. Wśród publiczności, którą występujący przyjęli z dużą wdzięcznością z racji wyjątkowo niesprzyjających tego dnia warunków pogodowych i silnych opadów deszczu, znaleźli się m. in. konsul RP w RS Artur Łukiańczuk oraz dyrektor Szkoły Polskiej przy Ambasadzie RP w Bratysławie Krzysztof Gruca z żoną.

Dzięki współpracy redaktor naczelnej „Monitora Polonijnego” ze słowacką telewizją publiczną na akcji nie

zabrakło również kamer STVR, a Stano Stehlik zadbał o nagranie całego występu na potrzeby mediów organizatorów wydarzenia.

Cichym bohaterem wydarzenia była nieoceniona Teresa Lukáčová, która nie tylko rozdzielała role i przygotowała teksty dla wszystkich uczestników Narodowego Czytania, ale też czuwała nad przebiegiem całego wydarzenia z ramienia Instytutu Polskiego. Wszyscy biorący w nim udział mogli opuścić Instytut z przekonaniem o wielkości polskiej literatury i znaczeniu jej nieustannego przybliżania kolejnym pokoleniom odbiorców. **NKH**



100-lecia polonistyki w Bratysławie

W tym roku mija sto lat, od kiedy na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie uczy się języka polskiego. O przygotowaniach do jubileuszu rozmawiamy z lektorką języka polskiego dr Bożeną Kotułą.

Jak będą Państwo obchodzić 100-lecie polonistyki w Bratysławie?

Przygotowujemy się do tej rocznicy bardzo długo. Będzie kilka wydarzeń, jedne bardziej oficjalne, inne mniej. Może zacznę od tych oficjalnych, do których należy uroczysta gala, zaplanowana na 21 listopada. Złożą się na nią część oficjalna obchodów jubileuszu oraz koncert, który naszej katedrze prezentuje Instytut Polski w Bratysławie. Mam nadzieję, że będzie to atrakcyjna i doniosła część uroczystości.

Jaki to będzie koncert?

Będzie to koncert polskiej muzyki filmowej w wykonaniu Śląskiego Kwintetu Kameralnego.

Do kogo adresowane jest to wydarzenie?

Przede wszystkim do uczestników konferencji naukowej, o której powiem za chwilę. Druga grupa to zaproszeni goście, mamy nadzieję, że zaszczyt nas swoją obecnością pan ambasador RP w RS, pani dyrektor Instytutu Polskiego, będą też nasi studenci, no i liczymy na obecność naszych absolwentów.

Co jeszcze w przygotowaniu?

Drugim wydarzeniem w ramach oficjalnych obchodów będzie konferencja naukowa, na którą zaprosiliśmy polonistów słowackich, polskich, ale też z innych krajów słowiańskich, którzy w jakiś sposób byli lub są związani z Uniwersytetem Komeńskiego. Najwięcej artykułów, które pojawią się w naszej publikacji jubileuszowej, zostało napisanych w języku polskim przez polskich badaczy. Ukażą się w niej również artykuły naukowców m.in. chorwackich czy słoweńskich, a zatem pisane w innych słowiańskich językach. Zarówno okolicznościowy tom, który się ukaże, jak i konferen-

cja, która ma się odbyć, będą miały charakter ogólnosłowiański.

Ilu obecnie studentów uczy się języka polskiego w Bratysławie i jak oni przeżywają ten jubileusz?

W Bratysławie nie ma typowej polonistyki. Używamy takiego skrótowego, żeby nie mówić za każdym razem, że uczymy języka polskiego w ramach określonych kierunków studiów. Możemy powiedzieć, że na kierunku studiów, które oficjalnie noszą nazwę studiów środkowoeuropejskich, oraz na drugim kierunku o nazwie języki słowiańskie mamy obecnie ok. 50 studentów. To jest dość dużo. Liczymy na to, że studenci włączą się do naszych działań, związanych z rocznicą. Zresztą już się tak dzieje, np. jedna studentka przygotowała bardzo ładne logo, które będziemy wykorzystywać na niektórych plakatach czy zaproszeniach. Studenci przygotowują też quiz o Polsce. Planujemy ogłoszenie konkursu na esej albo jakąś plastyczną wypowiedź związaną z językiem polskim i z Polską. Kto będzie chciał, będzie mógł wziąć w nim udział. Będą zatem nagrody – oczywiście polonistyczne – ale to jeszcze tajemnica i o tym nie mogę mówić.

Jak Pani i inni wykładowcy przeżywają ten piękny jubileusz?

Stres, związany z tym wydarzeniem, był, kiedy zaczynaliśmy przygotowania do niego i jeszcze nie było wiadomo, w którym kierunku one pójdą. Teraz już zaczął panować względny spokój, bo bardzo dużo rzeczy jest w toku: w druku jest już tom konferencyjny, wiemy, że Instytut Polski zamówił koncert. Potem, oczywiście, czekają nas inne zadania, ale one będą bardziej techniczne, organizacyjne, polegające na ustaleniu kolejności wystąpień podczas konferencji czy bardziej szczegółowego programu gali.

Jak długo jest Pani związana z polonistyką na Uniwersytecie Komeńskiego?

Niedługo, bo dopiero trzeci rok. Bardzo lubię uczyć i uważam, że każde aktualne miejsce pracy jest tym moim miejscem. Wiadomo, lektor zmienia ośrodki, ale ja czuję się w Bratysławie jak u siebie w domu. Myślę, że to święto przede wszystkim bratysławskiej polonistyki, ale i pozostałych ośrodków na Słowacji, gdzie uczy się języka polskiego, czyli Preszowa i Bańskiej Bystrzycy.



Słowacy i polscy studenci (wspólnie realizujący grant z Funduszu Wyszehradzkiego) przed pomnikiem Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Pani tam także uczyła, prawda?

Tak. Śmieję się, że ucząc języka polskiego, wędruję ze wschodu na zachód Słowacji. No i będę musiała skończyć tę wędrowkę, bo już nie ma więcej słowackich ośrodków, gdzie się uczy naszego języka (śmiech).

Ilu nauczycieli akademickich jest na polonistyce w Bratysławie?

To bardzo trudne pytanie (śmiech). Ja jestem lektorką, jest jeszcze dr Zuzana Obertová, ale ona w tej chwili przebywa na urlopie macierzyńskim, więc zastępują ją inne dwie panie. Pani profesor Dobriková, kierownik Katedry Języków Słowiańskich, która czuwa nad wszystkim, nie jest polonistką, ale bardzo nam pomaga w naszej pracy.

Jakimi studentami są ci, którzy decydują się na naukę języka polskiego?

Kiedy pracowałam w Preszowie, studenci, wybierający nasz język, to byli wyłącznie Słowacy. W Bańskiej Bystrzycy także. Natomiast w Bratysławie jest bardzo dużo Ukraińców, kilku Rosjan. Polonistykę tworzy więc słowiańskie towarzystwo, ale w podejściu do studiów nie dostrzegam wśród studentów większych różnic. W każdym ośrodku są tacy, którzy chcą się uczyć, a jeżeli przychodzi ktoś, kto z językiem polskim wiąże swoją przyszłość, to efekty jego nauki są szczególnie widoczne.

Co z Pani perspektywy jest najtrudniejsze w nauce języka polskiego?

Najtrudniejszą rzecz stanowią interferencje językowe, ponieważ Słowakom mylą się pewne polskie słowa i formy ze słowackimi. Z podobnymi problemami spotykają się Ukraińcy i Rosjanie, z tym, że oni, przyjeżdżając na Słowację, mają jeszcze trudniej, bo dodatkowo uczą się słowackiego, więc dla nich najtrudniejsze jest to, by na zajęciach z danego języka zapamiętywali słowa i formy z tego konkretnego języka. Jeżeli ktoś się uczy, poświęca na naukę czas w domu, to są efekty. U większości studentów z obecnego trzeciego roku, widać je, ponieważ oni bardzo rzetelnie pracują.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA



Jej mama Słowaczka wybrała Polskę, ona – Słowację

Urodziła się w Polsce w rodzinie polsko-słowackiej. Jej mama – Słowaczka – tak bardzo pokochała Polskę, że nie chciała wracać do kraju przodków. Przeznaczeniem Heleny okazał się ojczysty kraj jej mamy. „Mimo że mieszkam w Koszycach już 56 lat, to czuję się Polką. Niestety, na co dzień nie mam z kim rozmawiać po polsku” – mówi ze smutkiem. Helena jest z zawodu fotografką, a na nasze spotkanie przyniosła bliskie jej sercu zdjęcia.

Zrobić wrażenie na delegacji

Helena przyjechała do Koszyc z mamą w odwiedziny do swojej cici. Wraz ze swoim ówczesnym adoratorem i słowacką kuzynką wybrali się do kina. „Szliśmy właśnie po ulicy Hlavnej, gdy obok zatrzymał się na motocyklu znajomy mojej kuzynki – Bartolomej” – opowiada.

Tego dnia przypadały jego imieniny, więc solenizant zaprosił ich do baru Jalta. Spotkanie to wspomina z bliskim w oku. „Mojego adoratora bardzo bolały zęby, nie mógł wymówić ani słowa, co Bartolomej wykorzystał i wysyłał go do domu, by się

leczył” – opisuje z uśmiechem. Po seansie filmowym do lokalu poszła więc tylko z kuzynką. Jakie było jej zdziwienie, gdy na zarezerwowanym dla nich stole zobaczyła dwie flagi: polską i czechosłowacką. Były tam też świeczki i wino. Dwie godziny (czas seansu filmowego) – tyle zajęło zauroczonemu mężczyźnie przygotowanie wszystkiego, łącznie z przekonaniem kelnera, że potrzebuje specjalnej oprawy, gdyż spodziewa się delegacji z Polski. I trzeba przyznać, że na „delegacji” zrobił wrażenie. A potem były tańce, zabawa, ale pojawił się problem...

Bariera językowa

„Muzyka głośno grała, więc rozmawialiśmy na tyle, na ile się dało. Nie znałam dobrze słowackiego, więc kiedy Berco pytał mnie o coś, kuzynka tłumaczyła, ja kiwałam głową i to wszystko” – wspomina Helena. I choć wychowywała się w rodzinie polsko-słowackiej, to jej mama nie rozmawiała z córką po słowacku. Jedyny kontakt z tym językiem miała podczas rodzinnych wizyt w Czechosłowacji.



Kawaler do wykarmienia

Podczas zabawy Berco zaprosił Helenę na następny dzień na spacer po Koszycach, ale do spaceru nie doszło z uwagi na zaplanowany jej powrót do Polski. Helena zgodziła się więc, żeby młodzieniec odwiózł ją na dworzec. W tym celu przybył do domu cioci, a tam rodzinne gremium oceniło chłopaka jako bardzo miłego człowieka. „Wszystko im pasowało, stwierdzili jednak, że jest trochę za chudy, więc dopiero jak go wykarmią, będzie wyglądał dużo lepiej” – śmieje się Helena.

Wytelefonowany ślub

Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia? Z jego strony tak. „Nie wyczułam tego, mnie, wtedy 21-latkę, nie było w głowie oglądanie się za starszym 29-latką, więc nawet go nie zaprosiłam na moje urodziny” – wspomina pożegnanie na dworcu kolejowym. A jednak Bartolomej przyjechał – jako kierowca kuzynki i szwagra ze Słowacji.

Ta wizyta zmieniła bieg wydarzeń w życiu naszej bohaterki, ponieważ Berco... w obecności rodziny poprosił ją o rękę. I jednocześnie oznajmił, że ślub odbędzie się 25 listopada, czyli półtora miesiąca później! I przez to półtora miesiąca, w każdą środę o godzinie 17 – Helena w Polsce, Berco w Czechosłowacji – przesiadywali na poczcie w oczekiwaniu na telefoniczne połączenie międzynarodowe. Czasami nawet dwie godziny. Przez telefon obgadali wszystko. Ostatecznie 25 listopada 1967 r. powiedzieli sobie sakramentalne „tak”.

Życie w pałacu, życie z bajki?

Mąż Heleny mieszkał w Pałacu Jakabów, ówczesnej siedzibie związku młodzieży, dla którego pracował. Do dyspozycji miał jedno pomieszczenie, które stało się gniazdem młodej pary. „Wtedy nie było tam ciepłej wody, prysznic, a toaleta była na korytarzu. Nie mieliśmy też kuchni, no i często się zdarzało, że ktoś pukał do drzwi, by zaczerpnąć jakichś informacji” – tak wspomina Helena początki w Koszycach, gdzie brakowało jej tego, do czego była przyzwyczajona.



„Mieszkałam w pałacu, ale nie był to pałac z bajki. Jeszcze bardziej doskwierał mi brak przyjaciół i rodziny, nie potrafiłam się dogadać po słowacku ani po węgiersku, którym większość koszyczan się posługiwała” – wspomina.

Oczywiście, państwo Gerecowie radzili sobie, jak potrafili, przeżywając też piękne i zabawne chwile, jak na przykład wtedy, gdy Berco uczył swoją młodą żonę gotować haluszkę. „W tym celu zakupił palnik elektryczny i zademonstrował, jak przygotować słowacki specjał. Zmieszał ziemniaki i mąkę, zrobił ciasto i wrzucił do gotującej wody. Mimo że wyciągnął wtyczkę z kontaktu, urządzenie nadal było gorące, więc wszystko wykipiło!” – śmieje się Helena.



Ciąg dalszy

Młoda mężatka świetnie poradziła sobie ze znalezieniem pracy, miała ukończoną szkołę fotografii w Polsce, więc mogła się realizować w swoim zawodzie jako pracownica Muzeum Wschodniosłowackiego, gdzie pracowała 33 lata. „Muzeum szukało fotografa i przyjęło mnie z otwartymi

rękami, kiedy przedłożyłam dyplom 5-letniej szkoły z maturą – wspomina Helena i dodaje, że to było coś, ponieważ wtedy w Czechosłowacji istniała tylko trzyletnia szkoła fotograficzna bez matury. „Praca była ciekawa, fotografowałam i dokumentowałam niemalże wszystko: wykopaliska, monety, stroje ludowe, wystawy polityczne, skarby” – opisuje.



ZDJĘCIA: ARCHIWUM HELENY GERIC

Dla Heleny praca była bardzo ważna, jednak najważniejsza była zawsze rodzina. Wspólnie z mężem doczekali się dwójki dzieci, mają też wnuki.

Helena związana jest też z Klubem Polskim w Koszycach, uczestniczy w jego spotkaniach, imprezach kulturalnych czy wycieczkach. Niedawno została modelką, a jej portret, obok 21 innych, był prezentowany na wystawie fotograficznej „*Veni, vidi, amavi* – przybyłam, zobaczyłam, pokochałam“, zorganizowanej przez Klub Polski w Bratysławie.



ZDJĘCIE: KASIA ČUHA

Przepis na szczęście

Wraz z grupą znajomych Helena i Berco chodzą na długie wycieczki, grają w bowling, często zyskując wyróżnienia w tej dyscyplinie. Prowadzą aktywne życie, któremu nieustannie towarzyszy muzyka.

Na pytanie, co jest ważne w małżeństwie, Helena odpowiada: „Podróże! Przekonałam do nich mojego męża, który wcześniej odwiedzał tylko pobliskie kraje” – wyjaśnia. Razem zwiedzili już wiele zakątków świata, m.in. Włochy, Francję, Hiszpanię, Tajlandię, Singapur, Malezję, a ostatnio Dominikanę.

„To ja organizuję wszystkie nasze wyjazdy, dlatego Berco często nazywa mnie swoją małżonką, opiekunką i sponsorką” – śmieje się.

Helena pokazuje mi zdjęcia z różnych krajów, opowiada historie rodziny, rozmawiamy o mężczyznach, o wychowaniu dzieci, o Polsce, o ślubie, o pasjach, o tym, co dla nas ważne. I tak sobie myślę, że kobiety, bez względu na wiek, miejsce urodzenia, wychowania, wcale się od siebie tak bardzo nie różnią.

KASIA ČUHA, RED., Koszyce

OSTATNIA CZAROWNICA



To właśnie tutaj rozegrała się tragiczna historia Barbary Zdunk, uznanej za ostatnią czarownicę w Europie.

Barbara Zdunk – ofiara procesów czarownic?

Barbara Zdunk była prostą kobietą. Urodziła się koło Bartoszczyk jako córka pastucha. W młodym wieku opuściła dom i zaczęła pracować. Poślubiła żołnierza, nazwiskiem Sdunk, lecz już po sześciu tygodniach jej małżeństwo się rozpadło. Miała wielu kochanków

Halloween to czas, kiedy zapomniane opowieści ożywają, a świat przypomina sobie mroczne legendy o duchach i niezwykłych wydarzeniach z przeszłości. Jedną z takich przerażających historii miała miejsce w Polsce. To tragiczny los ostatniej czarownicy, której przeznaczenie nierozdzielnie spleta się z malowniczym zamkiem w Reszlu. Jego surowe mury i podziemne korytarze do dziś kryją ślady strachu, oskarżeń o czary oraz ostatni krzyk rozpacz przed wyrokiem ognia.



i była matką kilkorga nieślubnych dzieci. W wieku 30 lat zakochała się w o wiele młodszym parobku Jakobie Austerze, co wzbudziło sensację i oburzenie lokalnej społeczności. To właśnie ten związek przyczynił się do rosnących podejrzeń wobec niej i późniejszych oskarżeń o czary.

Milczący świadek mrocznych dziejów

W małym, zabytkowym miasteczku Reszel na Warmii, w zakolu rzeki Sajny znajduje się jeden z najlepiej zachowanych średniowiecznych zamków w Polsce. Pierwsza krzyżacka strażnica stanęła tu już w 1241 r., jednak budowę murowanego zamku rozpoczęto ponad sto lat później. Główną przyczyną opóźnienia były ciągłe bunty plemienia Bartów, które nigdy nie pogodziło się z podbojem i regularnie niszczyło zakonną placówkę. Choć Reszel od 1243 r. formalnie należał do biskupów warmińskich,

Krzyżacy opuścili go dopiero w 1300 r. Budowa obecnego zamku trwała pół wieku. Rozpoczął ją biskup Jan I z Miśni w 1350 r., kontynuował Jan II Stryprock, a dokończył w 1401 r. Henryk III Sorbom. Warto wspomnieć, że rezydowali tu m.in. biskupi Andrzej Batory i Michał Radziejowski, a w latach 1503-1510 przebywał tu Mikołaj Ko-

pernik jako doradca biskupa Łukasza Watzenrodego.

Zamek pozostawał we władaniu biskupów warmińskich aż do I rozbioru Rzeczypospolitej, po którym został przekształcony w więzienie.





W nocy z 16 na 17 września 1807 r. w domu, w którym nocował Jakob Auster, wybuchł pożar, który zniszczył wiele budynków i spowodował ofiary wśród ludzi. W wyniku śledztwa o podłożenie ognia oskarżono Barbarę. Przyjęto, że mogła to zrobić z powodu nieszczęśliwej miłości do Jacoba lub z zemsty, gdyż jedna z wersji mówiła, że porzucona przez Jacoba zakrzyknęła wobec świadków, iż zemści się w okrutny sposób i pochłonie go ogień. Mieszkańcy, poszukując winnych, zaczęli oskarżać Zdunk, kierując się podejrzeniem, że parała się magią. Czy naprawdę była czarownicą, czy też raczej ofiarą ludzkiej niewiedzy i strachu? Atmosfera przesądów była wówczas tak silna, że wystarczyło kilka plotek, by oskarżenie przerodziło się w fakt.

Proces i egzekucja

Proces i skazanie Barbary Zdunk wywołały wiele kontrowersji. Mówiono, że była osobą upośledzoną umysłowo, co ułatwiało przypisanie jej winy. Spekulowano również, że pożar mógł być dziełem polskich żołnierzy armii napoleońskiej. Proces Barbary Zdunk trwał wiele lat, co było nietypowe dla spraw o czary – ówczesne sądy już niechętnie skazywały za czarno-

księstwo. Jednak naciski lokalnej społeczności i strach przed kolejnymi pożarami przyczyniły się do skazania kobiety na śmierć. Jej sprawa przeszła przez wszystkie instancje sądownictwa pruskiego, dotarła aż do króla Fryderyka Wilhelma III, który ostatecznie zatwierdził wyrok. Barbara była więziona i torturowana w lochach zamku przez cztery lata, podczas których była również wykorzystywana seksualnie. Ostatecznie, 21 sierpnia 1811 r., na wzgórzu tuż za murami Reszla wykonano wyrok. Barbara Zdunk jako ostatnia kobieta w Polsce skazana za czary została spalona na stosie. Była to również ostatnia egzekucja czarownicy w Europie Środkowej.

Cienie przeszłości, duchy i legendy

Dziś zamek w Reszlu jest popularną atrakcją turystyczną, jednak jego mroczna przeszłość wciąż budzi fascynację. Wiele osób twierdzi, że odczuwalna jest tu dziwna obecność czegoś lub kogoś, jakby duchy przeszłości wciąż krążyły po korytarzach. Podobno nocą na zamkowym dziedzińcu rozlegają się tajemnicze jęki i krzyki, wydobywające się z głębokiej studni. Legenda Barbary Zdunk jedynie podsycza te opowieści, a historia ostatniej czarownicy jest żywa w pamięci mieszkańców Reszla, którzy mówią o niewytłumaczalnych zjawiskach za murami zamku, niedaleko Szubienicznej Góry, gdzie spalono Barbarę.

Gdy mrok ożywa

Niezależnie od tego, czy wierzymy w duchy, czy traktujemy opowieści o czarownicach z przymrużeniem oka, zamek w Reszlu idealnie wpisuje się w klimat Halloween. Mroczna przeszłość, średniowieczna architektura i otaczające to miejsce legendy sprawiają, że każdy, kto interesuje się historią i tajemnicami, znajdzie tu coś dla siebie.

O gęsią skórę przyprawia wystawa narzędzi tortur, urządzona w podziemiach zamku. Wśród 50 eksponatów można zobaczyć przerażające urządzenia, którymi zadawano niewyobrażalny ból, m.in. krzesło czarownicy, naszpikowane kolcami, piłę, którą przecinano człowieka na pół, okrutną kołyskę Judasza czy żelazne buty, które służyły do miażdżenia i łamania kości nóg.



W noc Halloween, gdy granica między światem żywych a umarłych maleje, kruźganki i lochy reszelskiego zamku wydają się być miejscem, gdzie można poczuć ducha dawnych czasów. Dla miłośników przygód i mrocznych wrażeń to idealna okazja, by przenieść się do epoki, w której przesady i lęk przed nieznanym miały realną moc, a strach przed czarami i tajemniczymi siłami mógł kosztować życie. W mrocznych opowieściach, takich jak ta, granica między rzeczywistością a legendą się zaciera, ale w Reszlu legendy mają swoje miejsce i swoje duchy.

MZO



ZDJĘCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Nasi w zagranicznych dresach

ŻAL CZY DUMA?



Klose, Podolski, Wozniacki, Kerber – to tylko niektóre z nazwisk świetnych piłkarzy, tenisistek, łyżwiarek figurowych, koszykarzy i innych sportowców, rozsianych po świecie, w których płynie polska krew, ale medale zyskują dla innych krajów. Znacie ich? W kolejnym odcinku rozmów dwóch kibiców sportowych – mamy i jej 12-letniego syna Benia – bardzo ciekawy temat sportowy, który jest bliski wszystkim emigrantom, zatem i nam, Polakom mieszkającym na Słowacji.

A: Benio, mam dla Ciebie zagadkę. Kogo mam na myśli, mówiąc, że urodził się w Polsce, a kopał piłkę w reprezentacji Niemiec?

B: Jest dwóch takich: Miroslav Klose i Lukas Podolski.

A: Tak jest! Miroslav Klose zrobił wielką karierę piłkarską. Występował na pozycji napastnika. Z reprezentacją Niemiec zdobył mistrzostwo świata w 2014 r., wicemistrzostwo świata w 2002 r., dwa razy brązowy medal mistrzostw świata w 2006 r. (król strzelców 5 goli) i w 2010 r. Jest wicemistrzem Europy z 2008 r., z dorobkiem 16 goli został najsukuteczniejszym piłkarzem w historii mistrzostw świata, a z dorobkiem 71 goli najsukuteczniejszym zawodnikiem w historii reprezentacji Niemiec. Niesamowite osiągnięcia.

B: Jak się znalazł w Niemczech?

A: Z powodu gry ojca, który też był piłkarzem. W 1987 r. cała rodzina (rodzice, 11-letnia wówczas córka Marzena i 9-letni syn Mirosław) wyjechała z Opola do Niemiec.

A: A jak to było z Lukaszem?

B: Dość podobnie. Łukasz Podolski urodził się w Gliwicach w 1985 r., a rodzice trenowali dokładnie te same dyscypliny sportu, jak to miało miejsce w przypadku Klose – tata Łukasza był piłkarzem, a mama grała w piłkę ręczną. Do Niemiec wyprowadzili się, jak Łukasz miał 2 lata. Tam rozpoczął swoją karierę sportową. Również grał na pozycji napastnika. Spotkał się w reprezentacji Niemiec z Miroslavem Klose i razem zdobywali trofea. Zdobył mistrzostwo świata w 2014 r., dwa razy brązowy medal mistrzostw świata



ta (w 2006 i 2010 r.), srebrny medal mistrzostw Europy w 2008 r. Ze 130 występami zajmuje trzecie miejsce pod względem liczby występów w reprezentacji Niemiec, a jako zdobywca 49 goli jest też trzecim najlepszym strzelcem w historii niemieckiej drużyny narodowej. Obecnie występuje na pozycji napastnika w polskim klubie Górnik Zabrze. Często powtarzał, że właśnie w Polsce chce zakończyć swoją karierę.

A: Znasz jeszcze kogoś z polskim pochodzeniem, kto reprezentuje Niemcy?

B: Angelique Kerber, znakomita tenisistka polskiego pochodzenia, która jest zwyciężczynią trzech turniejów wielkoszlemowych: Australian Open 2016, US Open 2016 oraz Wimbledon 2018. Podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro zdobyła srebrny medal. Była liderką rankingu WTA łącznie 34 tygodnie. Mieszka w Polsce w Puszczykowie, gdzie jej dziadek zbudował Centrum Tenisowe „Angie”. Mówi biegle po niemiecku, angielsku i polsku. Jest przyjaciółką m.in. Agnieszki Radwańskiej i Caroline Wozniacki.

A: Wielka szkoda, że w tym roku po igrzyskach w Paryżu zakończyła karierę. A Caroline Wozniacki, którą wspominałeś, Dunka polskiego pochodzenia, wciąż jest w tourze WTA. Jej rodzice

są Polakami. Mama Anna była reprezentantką Polski w siatkówce, a tata Piotr był piłkarzem, w latach osiemdziesiątych podpisał kontrakt z duńskim klubem B 1909 Odense, wtedy na stałe przenieśli się do Danii. Tenisistka mówi płynnie po duńsku, polsku i angielsku.

B: I była nr 1 na świecie! Wygrała też Australian Open w 2018 r.

A: Benio, a Tarę Lipinski kojarzysz?

B: Łyżwiarka figurowa?

A: Tak, Tara Kristen Lipinski-Kapostasy urodziła się w 1982 r. w Filadelfii. Jej rodzice – Patricia i Jack Lipinski – pochodzą z Polski. Wszyscy jej dziadkowie urodzili się w Polsce (rodzice matki pochodzą z okolic Zakopanego, a rodzice ojca z okolic Warszawy). Tara w 1997 r. została najmłodszą w historii mistrzynią świata w kategorii solistek (14 lat 9 miesięcy 10 dni), a rok później została mistrzynią olimpijską w Nagano. Po tych igrzyskach wycofała się z amatorskiego uprawiania tego sportu. Była pierwszą w historii kobietą, która wykonała na zawodach kombinację dwóch potrójnych rittbergerów. Po zakończeniu kariery sportowej sprawdziła się jako aktorka. Zagrała w filmach „Vanilla Sky” razem z Tomem Cruisem, „Lodowa księżniczka”, „Ścigany przez wszystkich”.

B: Mama, ty tak prowadzisz rozmowę, że rozmawiamy tylko o Polakach, którzy niestety nie mieszkają w Polsce i nie reprezentują naszego kraju.

A: Jest ci smutno, że nie reprezentują Polski?

B: Jejku, trudno powiedzieć, ale... Nie, raczej nie mam z tym problemu, nie zazdroszczę, że to wygrana dla innego kraju, cieszę się po prostu z sukcesu tej osoby i kibicuję jej, jeśli wiem, że pochodzi z Polski, że w jej żyłach płynie polska krew. A ty, mamo, co wtedy czujesz?

A: Myślę Benio, że zadaliśmy sobie bardzo trudne pytanie. Zrozumienie sportowca, zmieniającego obywatelstwo z polskiego na inne, w dużej mierze zależy od sytuacji, w której znalazła się ta osoba. Czy zmiana obywatelstwa była tylko kaprysem, czy też może koniecznością wynikającą z różnych przyczyn? Może ucieczką przodków przed wojną, opresjami polityczny-

mi? Albo emigracją serca? I czasami żał, że dane zwycięstwo nie jest dla Polski, ale z drugiej strony i tak jestem z nich dumna.

B: A na Słowacji są jacyś wybitni sportowcy polskiego pochodzenia?

A: Bardzo dobre pytanie! Może po przeczytaniu tego artykułu ktoś zareaguje i nam opowie historię kogoś takiego.

B: W świecie jest ich sporo, prawda? W których krajach są ci najlepsi?

A: Na przykład w USA i Argentynie. W USA to Christian Laether, koszykarz, mistrz olimpijski z 1992 r., zaś w Argentynie piłkarz Paulo Dybala, który w 2022 r. zdobył wraz z reprezentacją tego kraju mistrzostwo świata. Jego dziadek był Polakiem, który uciekł do Argentyny w czasie II wojny światowej. Dla innych krajów walczą sportowcy, którzy ostatnio zdobyli medale na igrzyskach we Francji. I tak np. kajakarka Paulina Paszek, która jeszcze niedawno startowała dla Polski i trenowała w klubie polskim w Katowicach, dwa medale w Paryżu zdobyła dla Niemiec. Na tych samych igrzyskach Jasmine Paolini, włoska tenisistka polskiego pochodzenia, zdobyła złoto w deblu. Jasmine to niezwykle sympatyczna dziewczyna, jej mama jest w połowie Polką – córką Polki i Ghańczyka, Jasmine dobrze radzi sobie z językiem polskim, zdarzało się jej spędzać wakacje u babci w Łodzi, gdzie poznała i polubiła polską kuchnię. Kasia Gruchalla-Wesierski, reprezentująca Kanadę, to mistrzyni olimpijska z Tokio, która w Paryżu zdobyła srebro w wiosłarskiej ósemce. Jej dziadek urodził się w okolicach Poznania, ale po II wojnie światowej wyemigrował do Kanady.

Benio, zapomniałam o kimś z Paryża?

B: „Nicka”, litewska zawodniczka polskiego pochodzenia, która zdobyła srebro w breakdance, i jeszcze Camille Jędrzejewski, która wywalczyła srebro w strzelaniu z pistoletu na 25 metrów. Jej dziadkowie pochodzili z Polski. Cieszę się, że na świecie jest tylu utalentowanych sportowców z polskimi korzeniami.

A: Ja również. I wszystkim im życzymy dalszych sukcesów!

ANIA I BENIO PORADOWIE

Muszę przyznać, że ostatnie tygodnie były bardzo burzliwe! Przeżyłam pobyt w szpitalu, miałam na sobie maskę tlenową oraz nieprzyjemny wenflon w żyłę. Wszystko skończyło się dobrze i mimo że nie pamiętam szczegółów, moja mama zapisała wszystkie wydarzenia związane z tą moją „przygodą”. Możecie się o tym przekonać, czytając jej refleksje.

Z jacuzzi do szpitala

Kilka tygodni temu, kiedy Ninka kąpała się w jacuzzi, dostała ciężkiego ataku epilepsji. Mąż, który wciąż jej pilnował, chciał jej pomóc. Okazało

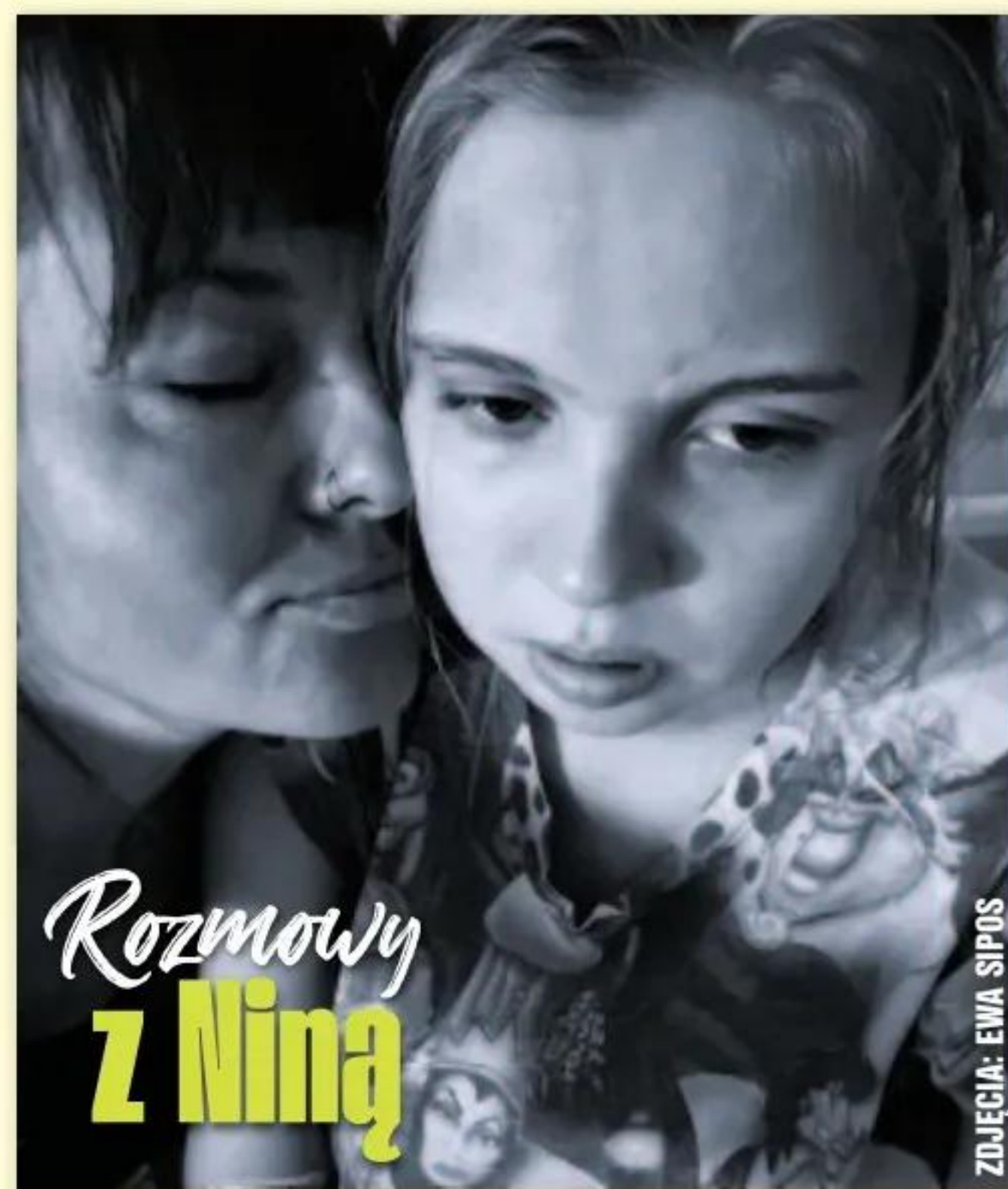
Maska tlenowa, wenflon i... parówki

się, że zdążyła wypić dużą ilość wody, która dostała się do jej płuc. Połączenie drgawek i wody spowodowało zatrzymanie oddechu. Wezwaliśmy pogotowie, które przyjechało po 5 minutach. Lekarz podłączył jej tlen, ale to niestety nie pomogło. Musieliśmy jechać do szpitala. Robo pojechał z Niną karetką, ja spakowałam rzeczy, wsiałam do samochodu i ruszyłam za nimi.

Tysiące pytań

Na pogotowiu saturacja tylko nieznacznie wzrosła, a wyniki prześwietlenia wykazały, że Nina wchłonęła zbyt dużo wody, aby wrócić do domu. Groziło jej zapalenie płuc. Strach na naszych twarzach mówił sam za siebie. Pytania bez odpowiedzi bombardowały nasze myśli. Kto się nią tam zajmie? Jak zatrzymają ją w łóżku? Jak powstrzymają ją przed zerwaniem kroplówki? Kto ją będzie trzymał, gdy będzie miała atak? Kto ją nakarmi?

Zgodnie z prawem Nina jest już osobą pełnoletnią i musi być hospitalizowana na oddziale dla dorosłych. Ale ludzie tacy jak ona na zawsze pozostaną zależni od innych. Nigdy nie



będą w stanie same o sobie zadbać, na zawsze pozostaną bezbronni i czysci.

Pokój z widokiem

W szpitalu w bratysławskiej dzielnicy Ružinov spotkaliśmy się ze zrozumieniem, życzliwością i dużą empatią. Już na izbie przyjęć podeszli do Ninki i do nas z delikatnością i wrażliwością. Życzliwe spojrzenia ukoili nasze przeżone myśli. Dostaliśmy osobny pokój na oddziale pulmonologicznym, gdzie mieliśmy łazienkę i toaletę, trzy regulowane łóżka i widok na park.

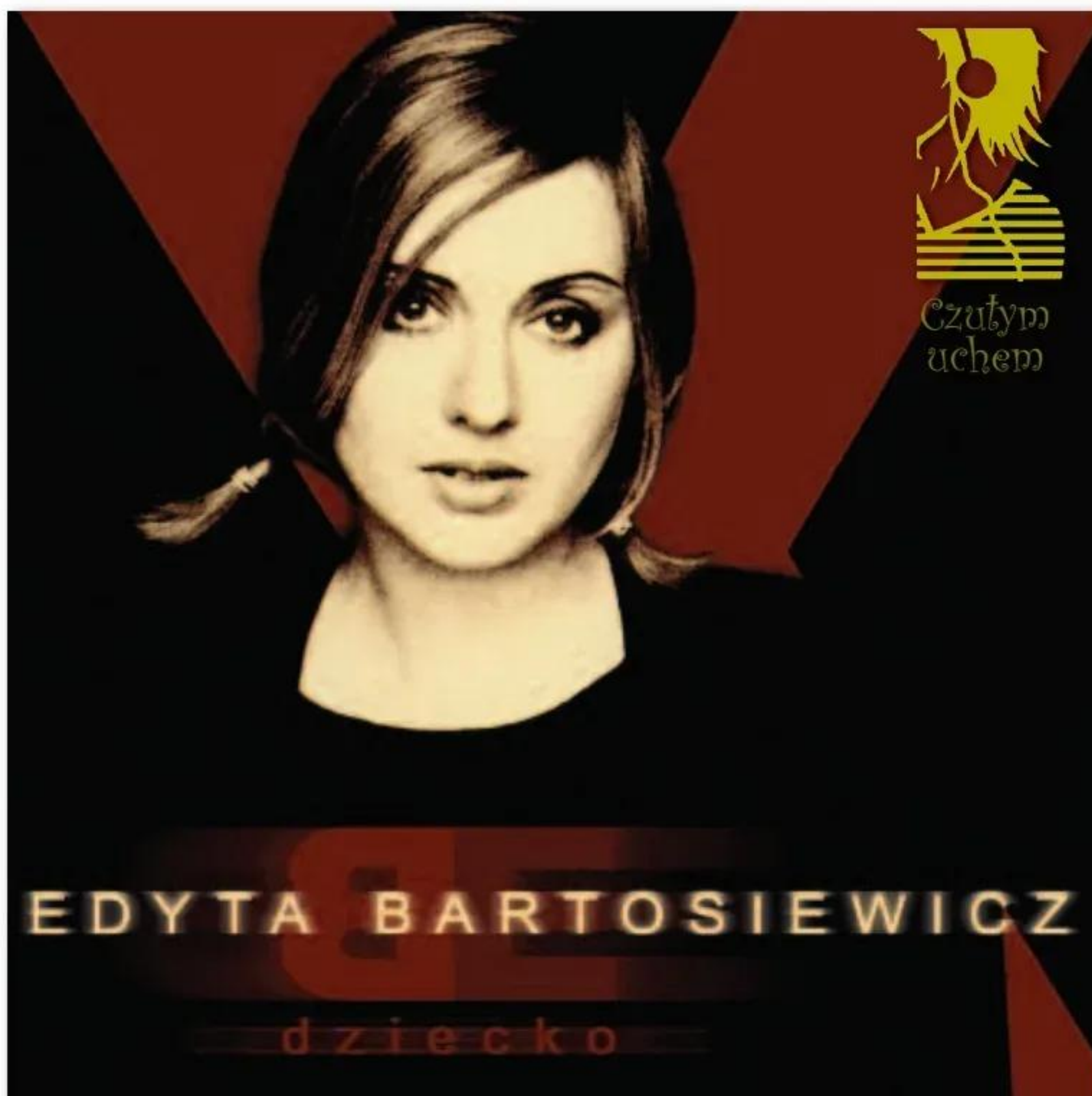
W nocy na zmianę pilnowaliśmy Ninki, która postawiła sobie za cel wyjęcie kaniuli z żyły i zdjęcie maski tlenowej. Rano po wizycie naszej pani doktor mieliśmy wrażenie, że jest ona osobą bliską, zainteresowaną pomocą Nince i nam. Jej podejście było wysoce profesjonalne, a jednocześnie ludzkie. Poczucie bezpieczeństwa, które stwarzała lekarka swoim zachowaniem, znacznie ułatwiło nam pobyt na oddziale. Rozumiała nas, okazywała szacunek i podziw. My jej także – dziękujemy pani doktor Pavle Bukonovej! Pielęgniarki, sanitariuszki i ekipa sprzątająca – wszyscy byli niezwykle mili i życzliwi. Może zakończę banalnie, ale dla autystycznego dziecka to był wspaniały prezent: mimo że w menu śniadaniowym nie było parówek, Ninka je dostała!

EWA SIPOS

Po prostu Ikona

Dziś znów będzie o głosie. O głosie i o utracie głosu. Zdarzyło mi się to kiedyś. Straciłem głos na ponad pół roku. Nic nie bolało, nic nie drapało, czułem się normalnie, ale głosu nie było. Wydawać by się mogło, że nic nie zwiastowało problemu, ale jak na to patrzę z odstępem czasu, to sygnały były, lecz subtelne bardzo.

Oczywiście w kontekście śpiewu o tym wspominać. Najprostsze piosenki dla dzieci były poza zasięgiem. Absolutna bezradność wobec ułomności, której podstaw się nie rozumie. Bezgraniczna frustracja z powodu niemożliwości wyrażenia siebie. Tak to już jest z głosem. Póki go mamy, traktujemy jak coś oczywistego. Natomiast faktem jest, że głos, tak samo jak wszystko inne na tym świecie, nie jest niczym



EDYTA BARTOSIEWICZ

dziecko

oczywistym. Banał, do którego zrozumienia potrzebna jest strata.

Głos trzeba szanować, dbać o niego i chronić go przed szkodliwymi czynnikami.

Czy kojarzycie ikoniczną dziś już okładkę dla magazynu „Q”, na której, siedem tygodni po śmierci Kurta Kobaina, pod wymownym tytułem *Hips, Lips, Tits, Power* pojawiły się trzy diwy popkultury: Björk, Tori Amos i moja ukochana PJ Harvey, legitymizując tym samym erę feministyczną w popie?

To zjawisko równoległe było widoczne również na naszej rodzimej scenie, dając nam wiele dobrego. Mieliśmy nawet swoje trzy diwy: Kasię Kowalską, Kasię Nosowską i Edytę Bartosiewicz. Szczególnie Bartosiewicz, z krwi i kości songwriterka – zjawisko niezwykle rzadkie w Polsce, o czym już pisałem – była wyjątkowo zjawiskowa.

W latach dziewięćdziesiątych praktycznie każdy singiel firmowany nazwiskiem artystki był strzałem prosto w serce. *Sen, Tautaż, Szał, Zegar, Ostatni, Jenny, czy Skłamałam* to piosenki-pomniki tamtego okresu, promujące trzy najbardziej znane albumy Bartosiewicz.



Nasze rany codzienne

Niezwykle cenię pisarzy, którzy potrafią oddać w swojej twórczości autentyczność języka, którym mówimy na co dzień. To nie jest proste – tak opisać swoich bohaterów, by ich słowa i myśli nie wydały się czytelnikom banalne, sztuczne, wymyślone na siłę.



Potrafi to z pewnością Dorota Masłowska, która ma niesamowity dar obserwowania codzienności, a jej najnowsza książka – „Magiczna rana” – jest tego niepodważalnym dowodem. Autorka od słynnego debiutu, czyli „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną”, konsekwentnie rozwija swój niepowtarzalny styl, dzieląc czytelników na fanów i hejterów, nie pozostawiając nikogo oboję-

tnym wobec sposobu, w jaki opisuje świat.

W „MAGICZNEJ RANIE” charakterystyczna dla Masłowskiej narracja urzekła mnie już od pierwszych zdań. Nie jest to typowa powieść, raczej zbiór pozornie niezwiązanych ze sobą opowiadań, które jednak stopniowo zaczynają tworzyć pewien splot wydarzeń, by pod koniec ukazać czytelnikom właściwą historię. Jak

zawsze u tej autorki, jest to opowieść o ludziach, którzy zajęci własnymi sprawami ulegają stworzonym przez samych siebie iluzjom, nie oceniając trzeźwo rzeczywistości.

A życie, jak wiadomo, potrafi zaskakiwać – i to niestety często negatywnie... Bohaterowie Masłowskiej są dalecy od doskonałości, bo to po prostu ludzie, usiłujący przetrwać w świecie,

który niemal całkowicie odbija się w lustrze mediów społecznościowych, narzuca specyficzne standardy, nie pozwala się wyluzować, bo w każdej chwili można zostać skrytykowanym – najczęściej przez zupełnie obcych ludzi.

Łatwo się w takim świecie kompletnie pogubić, jak na przykład pewna aktorka i jej mąż reżyser, którzy urządzili stylową parapetó-

Te dwa ostatnie utwory otwierają wydaną 1 czerwca 1997 r. płytę *Dziecko* i trudno sobie wyobrazić bardziej ikoniczne otwarcie albumu. To właśnie do słowa „ikona” skradam się w trudzie i znoju, bo



Edyta Bartosiewicz jest ikoną popu i potwierdzić to winien każdy czterdziestoparolatek z polskim rodowodem!

Po anglojęzycznym debiucie *Love* z 1992 r. przychodzi czas na podwójnie platynową płytę *Sen*, która spokojnie mogłaby być tematem tego artykułu. A dlaczego nie jest? Ponieważ dopiero na następnym albumie *Szok'n'Show* współpracę z wokalistką podejmuje Maciej Gładysz, który w tamtym czasie miał już na koncie przynajmniej dwa ikoniczne albumy z zespołami Wilki i Human, o których już pisałem.

To właśnie on stempluje swoim brzmieniem markę artystki. To właśnie jego gitara jest jednym z głównych elementów ówczesnego muzycznego krajobrazu. Pamiętam doskonale, jakim szokiem był *Szok'n'Show* i jak mocno wdarł się w rzeczywistość. Wystarczy sobie posłuchać z tej płyty utworu *Ostatni* i poczuć jeszcze raz to, co z nami robi od trzydziestu już lat.

Ten album również mógłby być tematem tego artykułu. A dlaczego nie jest? Ponieważ dopiero płyta *Dziecko*, zarejestrowana w Studio Buffo w Warszawie i wyproduko-



wana przez Leszka Kamińskiego – ówczesnego męża artystki; ich prywatna relacja to kolejny instrument na płycie – jest esencją Edyty Bartosiewicz. Nomen omen, czuć jej matczyną miłość do tego albumu, czuć, że to jej prawdziwe dziecko. Ikoniczne otwarcie, namacalna atmosfera, nasycenie emocjami, surowe brzmienie, rejestracja albumu na tzw. setkę, *Jenny*, *Sklamalam*, *Nie Znamy Się*, *Dziecko* czy kapitalne *Wśród pachnących magnolii* i ten rozwibrowany emocjami przepiękny głos Edyty. Głos, który ją zostawił na wiele lat, a teraz wrócił. Cieszymy się nim, bo nic nie jest oczywiste! Dlatego to ten album jest tematem tego artykułu. Niech głos będzie z Wami!

ŁUKASZ CUPAŁ

wkę, ale do nowego mieszkania przeprowadzili się ze starymi problemami – a te rany zdecydowanie nie były w stanie się zagoić. Inna bohaterka – poetka Zoldana – która wyjechała z kraju na wymarzone stypendium, nieustannie czuje, że jej odmienność podlega społecznej obserwacji. Ciągłe napięcie i próba wyswobodzenia się z tego stanu, przynoszą tragiczne skutki. A miało być tak pięknie...

Żyjemy w świecie pobieżnym i szybkim, dzisiejsze sensacje następnego dnia są już rozmiękle, jak pospiesznie robione tosty. Nawet dzieci wiedzą, kiedy sztuczna atmosfera narasta i trzeba wyjść z domu, żeby rodzice

mogli klócić się swobodnie. Wszak, jak to zauważył najmłodszy chyba bohater „Magicznej rany”, nie pierwszy i nie ostatni to raz, lepiej iść na ryby. Tak bardzo przyzwyczajamy się do bylejako-

Dorota Masłowska



Magiczna rana

ści życia, niestaranności języka, ukrywania autentycznych uczuć, że w końcu zostajemy z tymi bagażami i nie czujemy już, jak mocno nas obciążają. W trakcie lektury nieraz zadawałam sobie pytanie, czy w ogóle można inaczej. Odrobina tolerancji, dystansu, pokory, spokoju mogłaby poprawić samopoczucie bohaterów, ale wydaje się to nieosiągalne – każda z postaci żyje w stworzonej przez siebie bańce i sił, by ją rozbić, zdecydowanie nie ma.

Czy rany mogą być magiczne? Zapewne w świecie mediów społecznościowych absolutnie wszystko da się przewartościować – nawet cierpienie i strach zyskują

dopracowaną oprawę. Zwykle życie już nie jest takie czarowne, powstające co rusz zranienia odbierają siły, dezorientują, pozostaje jedynie iść drogą obroną przez innych.

Proza Masłowskiej, tak specyficzna i żywiołowa, oddaje pełnię życia, toczącego się obok nas. Ludzie, których spotykamy gdzieś w przelocie, pokazują nam jedynie cząstkę siebie, a te pobieżne kontakty to zaledwie namiastka ich prawdziwego istnienia. Jak sprawić, byśmy nawzajem chcieli być sobie bliżsi, bardziej autentyczni? Lektura „Magicznej rany” nie pozostawia złudzeń co do odpowiedzi...

AGATA BEDNARCZYK

Marcin Dorociński zachwyił bezpośredniością w kontaktach z widzami i główną rolą w spokojnym, poetyckim filmie „Minghun”. Na konferencji prasowej pojawił się jego filmowy teść, hollywoodzki aktor Daxing Zhang, znany z „Aniołków Charliego” czy „Ostatniego cesarza”, który komplementował polskie kino. Cezary Pazura lubi gdyński festiwal. Przyjechał, bo zagrał epizod w poruszającym filmie „Ludzie”. Sandra Drzymalska udowodniła, że potrafi zbudować ciekawą osobowość w biograficznej opowieści o Simonie Kossak.

Joanna Kulig poza filmem Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta „Kobieta z...” prezentowała się głównie w reklamach wyświetlanych na telebimach. Ale była fascynująca. I tak można by podpatrywać i opisywać aktorów przez cały, trwający pięć dni festiwal w Gdyni, na którym pokazano szesnaście filmów w Konkursie Głównym, trzydzieści w Konkursie Filmów Krótkometrażowych i osiem w nowym Konkursie Perspektywy.



Przewodniczącą jury Konkursu Głównego była w tym roku Małgorzata Zajączkowska, aktorka znana z filmów Agnieszki Holland, Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Zanussiego czy Ryszarda Bugajskiego, która osiemnaście lat mieszkała poza Polską – w Paryżu i w kilku miastach w USA – występując tam pod nazwiskiem Margaret Sophie Stein. Jako jedyna polska aktorka wystąpiła u Woody Allena w filmie „Strzały na Broadwayu”. Jury konkursu filmów krótkiego metrażu przewodziła Magdalena Łazarkiewicz, dobrze znana polska reżyserka, twórczyni „Ostatniego dzwonka”, laureatka wielu nagród, a Konkurs Perspektywy oceniało jury pod przewodnictwem Janusza Zaorskiego, reżysera



kilkunastu filmów, w tym „Matki Królów” czy „Piłkarskiego pokera”. Wszystkie te gremia miały trudne zadania, bowiem każda kategoria filmów charakteryzowała się innym artystycznym poziomem.

Najbardziej rozczarował mnie w tym roku Konkurs Główny (w tym także selekcja filmów na ten festiwal), bowiem właściwie wśród szesnastu produkcji znalazłam zaledwie kilka, które usatysfakcjonują widzów, szczególnie tych, którzy w kinie szukają dobrze sfilmowanej opowieści, wypatrują ciekawych kreacji aktorskich, niekoniecznie tworzonych przez początkujących artystów amatorów, lubią pomysły profesjonalne zdjęcia (z tym jest ciągle najlepiej w polskim kinie), liczą na niebanalną ścieżkę dźwiękową, w której zarówno dialogi, jak i muzyka oraz efekty będą miały znaczącą, dobrze słyszalną rangę.

Polski tegoroczny kandydat do Oscara „Pod wulkanem” to film w reżyserii Damiana Kocura (reżyser nagrodzonego wcześniej „Chleba i soli”), który tym razem chyba przekombinował. Stworzył opowieść manieryczną i średnio osadzoną w mentalności ukraińskiej rodziny, którą na Teneryfie dosięga wiadomość o napaści Rosji na ich kraj. Te miłe wakacje sta-

ją się problemem egzystencjalnym. Jak wrócić do zaatakowanego kraju z małym dzieckiem? Jak młoda dziewczyna ma sobie ułożyć hierarchię wartości, skoro nie tylko trwa wojna w Ukrainie, ale nieszczęścia dopadają też ciemnoskórych emigrantów. Ta paralela z prześladowanymi emigrantami jest dziwnym chwytem formalnym i treściowym. Najlepsza w tym filmie jest rozmowa ojca z córką – jakby pierwszy raz spotkali się z własną szczerością. Damian Kocur przyznał, że nominacja „Pod wulkanem” jest dla niego radością i kłopotem, bo trzeba będzie dodatkowo promować ten film. To fakt, bo trzeba będzie zrobić skuteczną legendę.



Drugi film, pokazany w Konkursie Głównym w Gdyni i zgłoszony do Oskarów jako pełnometrażowy film międzynarodowy, to „Dziewczyna z igłą”. Ma on reprezentować kinematografię duńską. Reżyser Magnus von Horn, absolwent łódzkiej filmówki (aktualnie wykładowca tej uczelni), urodził się w Göteborgu. Jego debiutancki „Intruz” zdobył nagrody w Szwecji i na festiwalu w Gdyni. Najnowszy film „Dziewczyna z igłą” realizowała stuosobowa polska ekipa, zdjęcia kręcone były w Polsce, ale główne role zagrali duńscy aktorzy. Karoline gra Vic Car-



men Sonne, jej męża Besir Zeciri, a jako Dagmar oglądamy Trine Dyrholm.

Ta opowieść, osadzona w realiach duńskich tuż po I wojnie światowej, oparta na faktach, nawiązuje do historii seryjnej morderczynie niemowląt. Karoline, robotnica w fabryce, próbuje poradzić sobie z przypadkowym uczuciem i niechcianą ciążą. Decyduje się na oddanie dziecka Dagmar, która nielegalnie pomaga matkom w rzekomym umieszczaniu dzieci w rodzinach zastępczych. Karoline zostaje mamką u Dagmar. W pewnym momencie dowiaduje się o poczynaniach swojej chlebodawczyni. To czarno-biały film o nieszczęściu i samotności kobiet. Przejmujące kino, ważne w czasach, w których prawo nie wspiera kobiet potrzebujących ratunku.

Dla widzów, którzy lubią kino biograficzne, było w Gdyni kilka filmów. „Idź pod prąd” to zreżyserowana i dająca się oglądać historia Eugeniusza „Siczki” Olejarczyka i jego kolegów z Ustrzyk Dolnych w Bieszczadach, którzy w 1977 r. założyli kapelę KSU i zszokowali lokalną społeczność oraz Służbę Bezpieczeństwa swoim bezkompromisowym podejściem do kultury rockowej. Reżyserem filmu jest Wiesław Paluch. Siczkę gra Ignacy Liss, a oficera SB z dystansem Piotr Głowacki. Muzyki KSU słucha się dobrze.

Również przychylnie przyjęty i nagrodzony długimi brawami został film „Wrooklyn ZOO” w reżyserii Krzysztofa Skoniecznego, czyli opowieść o miłości zbuntowanego maturzysty Kosy, skejtera (w tej roli Mateusz Okuła najlepszy skejter z Wrocławia), którym opiekuje się dziadek (w tej roli bardzo ciekawy Jan Frycz), i tajemniczej, ale pięknie śpiewającej Romki Zory (Natalia Szmidt). Rzecz dzieje się w mieście, w którym rządzi gang rasistowskich skinheadów. Coś z „Romea i Julii” i kina agresji.



No i dwa filmy, które na pewno będą miały widzów. Historia o bokserze Jerzym Kuleju, którą zabawnie i z pomysłem opowiedział i wyreżyserował Xawery Żuławski. I od razu dodam, że to inne kino niż dotychczasowe filmy tego reżysera. „Kulej. Dwie strony medalu” jest historią rodzinną o Jerzym (Tomasz Włosok dobrze boksuje i tańczy) i jego żonie Helenie (urodziwa Michalina Olszańska), a także o czterech latach pracy między olimpiadami z Feliksem Stammem (świetny Andrzej Chyra). No i dobra rola Tomasza Kota jako oficera milicji. Warto ten film obejrzeć.



Również polecam opowieść o Simonie Kossak w reżyserii Adriana Panka z udanymi rolami Sandry Drzymalskiej jako Simony, Jakuba Gierszała, który gra Lecha Wilczka, wieloletniego przyjaciela Simony i demonicznej Agaty Kuleszy w roli matki, dbającej o dobre imię słynnej rodziny Kossaków. W tym filmie są piękne zdjęcia nie tylko z Puszczy Białowieskiej i naprawdę dobry dźwięk – zarówno głosy zwierząt, lasu, jak i muzyka wnika w tę opowieść.

Osobom lubiącym filmy o zwykłych dniach zwykłych ludzi proponuję film „Wróbel”, wyreżyserowany z delikatnością przez Tomasza Gąssowskiego. To historia listonosza z niewielkiej miejscowości, który nagle traci pracę, bo ludzie listów już nie piszą. Są w tym filmie trzy role, na które warto zwrócić uwagę – Remka Wróbla gra Jacek Borusiński, Julia Chętnicka jest dobrą sąsiadką Wróbla, a Krzysztof Stroński niespodziewanie odnalezionym dziadkiem.

I na zakończenie tej krótkiej festiwalowej relacji film, który zrobił na mnie największe wrażenie. To „Minghun”, pełna poezji i wrażliwości opowieść w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego, reżysera „Ostatniej rodzi-



ny” (o Beksińskich) czy „Żeby nie było śladów” (o Grzegorzu Przemyku). Scenariusz napisał Grzegorz Łoszewski, aktualnie nowy prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Jurek (Marcin Dorociński oszczędny w środkach wyrazu i bardzo przekonujący) po tragicznej śmierci córki wraz ze swoim teściem Benem, Chińczykiem mieszkającym w Szkocji, postanawiają odprawić chiński rytuał minghun, czyli pochówek połączony ze ślubem. Ta przypowieść o miłości i śmierci, o cierpieniu mężczyzny po stracie ukochanych kobiet (żony i córki) oraz o poszukiwaniu nadziei i sensu życia, a także o odwadze, by zmieniać narzucone rytuały, jest naprawdę poruszająca.

Filmy polityczne „Zielona granica” Agnieszki Holland czy „Biała odwaga” Marcina Koszałka, każdy zupełnie inny, wybrzmiały już przed festiwalem w Gdyni, a polskie kino, które opowiada o reżimie białoruskim i wojnie na Ukrainie, poza filmem „Ludzie” w reżyserii Macieja Ślesickiego i Filipa Hilleslanda, nie przekonało mnie siłą przesłania.

Gdynia przywykła do wrześniego święta polskiego kina. W tym roku – wydaje mi się – ilościowo było imponujące, ale jakościowo przydałaby się spokojna korekta i to już na etapie scenariuszy, a potem gotowych filmów. Bowiem w Konkursie Perspektywy pojawiały się co najmniej dwie ciekawe propozycje, ale o tym napiszę przy kolejnej okazji.

ALINA KIETRYS

Najważniejsze nagrody Konkursu Głównego 49. Festiwalu Filmowego w Gdyni:

Złote Lwy: „Zielona granica”

Srebrne Lwy: „Dziewczyna z igłą”

Reżyseria: Marcin Koszałka („Biała odwaga”)

Główna rola kobieca: Sandra Drzymalska („Biała Odwaga”)

Główna rola męska: Jacek Borusiński („Wróbel”)

Miejscowość Kláštor pod Znievom należy do jednych z najciekawszych w regionie Turiec. Oprócz Kalwarii, opisanej w poprzednim numerze (MP 9/2024), znajduje się tu także klasztor premonstratenński, uważany za jedno z najstarszych miejsc sakralnych w regionie i jeden z najważniejszych zabytków w kraju.

Ten kompleks klasztorny to nie tylko świadek burzliwej historii, ale również miejsce o ogromnym znaczeniu religijnym, kulturalnym i edukacyjnym. Najstarsze źródła wspominają go już w XI w., kiedy należał do benedyktynów. Od 1252 r. jego właścicielem stał się zakon norbertanów, zwanych także premonstratensami, którzy zostali sprowadzeni bezpośrednio z francuskiego klasztoru w Prémontré. Pierwszy opat, Albert, przy wsparciu dworu królewskiego wybudował kościół poświęcony Pannie Marii. Budowę ukończono w 1260 r. jako jedną z pierwszych gotyckich budowli w północnej części Królestwa Węgierskiego.



Kościół Marii Panny jest wczesnogotycką budowlą z prostokątnym prezbiterium i masywną wieżą, dobudowaną w połowie XIII w. W początkowym okresie kościół miał płaski sufit, jednak około 1520 r. zastąpiono go gotyckim sklepieniem sieciowym. Później, w 1826 r. dobudowano klasycystyczną wieżę. Skąpane w półmroku wnętrze zachowało liczne średniowieczne detale, w tym sanktuarium z drugiej połowy XIII w., wczesnogotycką kropielnicę, epitafium rodu Ratold, sedilia – miejsca siedzące przeznaczone dla duchownego sprawującego liturgię i jego służby liturgicznej, oraz lavabo – miseczkę i dzbanuszek do obrzędu umywania rąk w liturgii. Warto zwrócić uwagę również na barokową ambonę z przełomu XVII i XVIII w., oraz głów-

Ławeczka z widokiem na PRZESZŁOŚĆ

Słowackie
perełki



ny ołtarz Błogosławionej Marii Panny, pochodzący z tego samego okresu. Jednym z najbardziej znaczących elementów jest empora z połowy XVI w., ozdobiona drewnianą, renesansową balustradą. W arkadach empor znajdują się unikalne malowidła przedstawiające Chrystusa i apostołów. Obraz Błogosławionej Marii Panny, będący częścią głównego ołtarza, pochodzi z XVII w. i jest jednym z najcenniejszych dzieł sztuki w kościele.

Należy wspomnieć, że klasztor przez stulecia pełnił funkcję ważnego ośrodka duchowego, a także odegrał kluczową rolę w edukacji. W ramach kontrreformacji w XVII w. zakonnicy prowadzili szkoły i działalność misyjną, wspierając szerzenie wiary katolickiej w regionie. Kiedy narodowe dążenia Słowaków zyskały na sile, klasztor stał się ośrodkiem wsparcia działalności kulturalnej i narodowej. W latach 1869–1874 w Kláštorze pod Znievom funkcjonowało jedno z pierwszych słowackich gimnazjów, kształcących młode pokolenie Słowaków. Kształcili się tu m.in. kompozytor Mikuláš Moyzes, pisarz Martin Kukučín

czy prozaik i dramaturg Jozef Gregor Tajovský. Po II wojnie światowej w budynku znajdował się sierociniec, potem ośrodek sióstr zakonnych, a obecnie organizacja charytatywna Dobry Pasterz.

Dziś klasztor, choć nie pełni już pierwotnych funkcji, pozostaje ważnym miejscem historycznym i duchowym, a także atrakcją turystyczną. Co roku, 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny odbywa się tu pielgrzymka, która ma już 300-letnią tradycję.



Klasztor można podziwiać także z pobliskiego wzgórza, na którym znajduje się nietypowa, gigantyczna ławeczka. Ma ona 3 m wysokości, 5 m długości i jest ulubionym miejscem kontemplacji zarówno mieszkańców, jak i turystów. Roztaczają się z niej malownicze widoki na okolicę oraz zabytkowy klasztor, który jest zarówno miejscem modlitwy, jak i świadkiem wielu wydarzeń historycznych. Bogata historia, piękna architektura oraz niezwykle dzieła sztuki czynią z niego miejsce warte odwiedzenia i lepszego poznania.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA



ZDJĘCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Świat komuny, to świat, w którym działało tylko radio i czarno-biała telewizja oraz gazety codzienne. Głównym źródłem informacji były te ostatnie. A jakie były informacje przekazywane przez nie?

Władza w czasach PRL-u była świadoma tego, że nie każdego stać na telewizor, a słowa usłyszane w radio są ulotne, stawiała więc na to, by zwykły robotnik miał zagwarantowany dostęp do prasy, szczególnie tej kontrolowanej przez partię rządzącą. To był cel nadrzędny. Już wtedy wiadomo było, iż codzienna prasa będzie gwarancją przekazu informacji do nawet najbardziej odległych zakątków kraju.

„Trybuna Ludu”

Zadania tego podjął się dziennik społeczno-polityczny „Trybuna Ludu”, powstały w 1948 r. z połączenia „Głosu Ludu” i „Robotnika”. Jego pierwszy numer wyszedł na krótko przed Bożym Narodzeniem 1948 r. i stał się oficjalnym organem informacyjnym KC PZPR – partii rządzącej. Codzienny nakład tego dziennika wynosił z początku 250 tysięcy egzemplarzy, osiągając w latach 70. ok. 1,5 miliona dziennie.

Dziennik ten sprzedawano we wszystkich kioskach RUCH-u. Ale nie tylko. Sprzedawano go też w księgar-



PROPAGANDA

w nakładzie 1,5 miliona

niach i miejscach, odwiedzanych przez licznych klientów. Do obowiązków każdego zakładu, każdego przedsiębiorstwa należała prenumerata tego dziennika. „Trybuna” nie miała charakteru komercyjnego, bazowała na prezentowaniu stanowiska partii rządzącej, informowała i wspierała działania gospodarcze oraz komentowała politykę. Była głosem polityków do robotników i rolników. Każde ważne przemówienie polityka zawsze drukowano w „Trybunie” w całości, by każdy mógł je przeczytać. Koniec ustroju politycznego oznaczał również koniec wydawania tego dziennika, co miało miejsce 28 stycznia 1990 r. Następnego dnia ukazała się już pod zmienionym tytułem „Trybuna Kongresowa”, by później przekształcić się po prostu w „Trybunę”. Od maja 2013 r. gazeta wychodziła jako „Dziennik Trybuna”, od sierpnia 2023 r. pojawia się już tylko w wersji elektronicznej.

Czemu tyle uwagi poświęciłem dziennikowi, który od-

szedł w zapomnienie? Otóż cechowało go kilka rzeczy, których dziś na rynku informacyjnym już nie ma.

Nowomowa

Językiem, którego wówczas używano w masowych środkach przekazu, więc nie tylko (ale głównie) w Trybunie, była tzw. nowomowa – określenie nadane przez językoznawców. Był to język rządów totalitarnych, które w życiu politycznym stosowały nieuczciwe i manipulacyjne strategie nakłaniania oraz sprawowania władzy za pomocą mediów. Takie słowa jak: obowiązek, sojusz, przyjaźń, praca, postęp pojawiały się niemalże w każdym artykule. Nowomowa w czasach PRL-u przykrywała kłamstwa, kreśliła inną rzeczywistość.

NIECH ŻYJE POLSKA
NIEPODLEGŁA, DEMOKRATYCZNA, LUDOWA!

Cenzura

Cenzura była wszechobecna. Cenzurowane było nie tylko każde zdanie, ale każde słowo i to podwójnie. Najpierw przez korektora, a potem przez pracownika cenzury rządowej, wchodzącego w skład redakcji. Efektem tego było powstawanie nowych semantycznych przenośni i znaczeń słów, które w sposób odpowiadający władzy zmieniały wagę konkretnej wypowiedzi czy zdania. Na przykład termin „regulacja cen” oznaczał po prostu podwyżki cen, a „zamieszki społeczne” – strajki.

Cenzura mocno wpływała również na informowanie społeczeństwa w przypadku

katastrof i groźnych wypadków. Informacje takie, jeśli się pojawiały, to często nawet z kilkudniowym opóźnieniem w formie małej wzmianki w miejscu słabo widocznym – nigdy na pierwszej stronie.



Propaganda

Na pierwszej stronie gazety szczególne miejsce zajmowały hasła polityczne, stając się w ten sposób głównym narzędziem propagandy. „Polska Ludowa - droga do socjalizmu” – było jednym z wielu. Takie i im podobne hasła, jako główne narzędzie socjalistycznej propagandy, uważane przez ówczesną władzę za jeden z najmocniejszych narzędzi wpływów na obywateli, gościły na pierwszych stronach wszystkich gazet, w gablotach sklepów, na tablicach urzędowych, w miejscach pracy. Kiedyś swobodny dostęp do informacji był mocno ograniczony, warto o tym przypomnieć i o tę swobodę troszczyć się i dzisiaj.

ANDRZEJ IVANIČ

„SŁUŻBA POLSCE”
wielka szkoła życiowa
nowego pokolenia!





Wakacje już dawno za nami, lato pozostało we wspomnieniach. Nadchodzą jesienne wieczory, a w ślad za nimi długa, ciemna zima. Nie należy jednak się poddawać jesiennej chandrze! Warto wówczas popробować dostrzec pozytywne aspekty otaczającego nas świata. Mieszkańcy Słowacji coraz częściej narzekają na swój kraj, na to, że sprawy ich zdaniem zmierzają w złym kierunku. Tymczasem wiele osób, zwłaszcza z nizinnego Mazowsza lub Pomorza, wiele by dało za to, by choć na chwilę się zamienić miejscami. Słowacja to góry, a polsko-słowackie pogranicze to piękne Tatry oraz Mała Fatra, Góry Choczańskie i inne pasma górskie, jedyne poza Alpami o alpejskim charakterze w tej części Europy. A październik to ostatni moment, by z tych gór skorzystać jeszcze w letniej odsłonie, już bez wakacyjnych tłumów, bez zbędnej komercji, typowej dla zakopiańskich Krupówek, bez niebezpiecznych dla życia burz, za to z niskimi cenami i wciąż jeszcze z ładną, stabilną pogodą.

Polacy na Słowacji są pod tym względem prawdziwymi szczęściarzami wśród Polonii. Polonia amerykańska, kanadyjska, białoruska, a nawet niemiecka czy szwedzka tęskni za polskimi klimatami, a odwiedzenie Ojczyzny nie zawsze jest możliwe. Nawet nie tyle, że się nie da, co po prostu brakuje czasu, pieniędzy. A co się kojarzy z Polską, w tym z polską kulturą, poezją,

symbolami narodowymi? Nie tylko rosochate wierzby Mazowsza i muzyka Chopina, ale także Tatry. A te, czego często nie doceniamy, mamy przecież wspólne – polsko-słowackie. A za sprawą magistrali kolejowej Bratysława-Koszyce słowackie Tatry są na wyciągnięcie ręki przez cały rok, również dla niezmotoryzowanych, mieszkających z dala od polskich granic, czyli także dla naszych czytelników z Bratysławy, Koszyc, Trnawy, Żyliny i innych słowackich miejscowości.

W natłoku codziennych spraw często zapominamy o tym, co swojskie i bliskie. Zamiast w Tatry – jeździmy do Egiptu lub Chorwacji. Jak już do



Polski – to do Krakowa lub Warszawy. Na Tatry narzekamy, bo mamy to w zwyczaju – to narodowa cecha Polaków i Słowaków. Że drogo, że kiczowato, że coś nie tak. Owszem, w szczycie wakacji ma to nawet sens, bywa za drogo i za tłoczno. Tym bardziej namawiam do odkrycia Tatr poza sezonem, najlepiej w październiku właśnie. Słowackie Tatry są zamknięte od listopada do końca maja. Październik to ostatni miesiąc, gdy można po nich wędrować legalnie i bez ograniczeń. I chociaż szybciej się robi ciemno, to jest dużo mniej niekorzystnych i gwałtownych zjawisk pogodowych, jak latem. Jest spokojnie, a wciąż ciepło. Wielu prawdziwych miłośników gór uważa, że to właśnie teraz jest ten najlepszy okres na górskie wycieczki.

Przy planowaniu październikowego wypoczynku, zachęcam, by wyjść poza schemat i odkryć dla siebie mniej oczywiste miejsca, niż tylko Starý Smokovec, Tatranská Lomnica, Štrbské Pleso czy Zakopane. Wspaniałe wypoczynek jest często w wioskach, które leżą co prawda na uboczu, ale urzekają swoją atmosferą – np. Ždiar na północy Tatr, podobnie nazywający się Žiar koło Liptowskiego Mikuláša na południu czy Zuberec na Orawie. Warto odkryć atrakcje polsko-słowackiego pogranicza, takie jak Zamek Orawski, skansen w Zubercu czy liczne aquaparki. Nocując na słowackiej Orawie, można wybrać się na jednodniowe wycieczki do polskiego Chochołowa, Kościeliska i Zakopanego, korzystając z uruchomionych na tę okoliczność autobusów, które z myślą m.in. o słowackiej Polonii utworzył samorząd Województwa Małopolskiego. Kursują cały rok, również w listopadzie i zimą.

Góry słowacko-polskiego pogranicza to nie tylko Tatry. Polecam również Chočské vrchy (Góry Choczańskie) i wyjście na Veľký Choč na pograniczu Liptowa i Orawy. Wyjść można nawet ze stacji kolejowej w Ružomberku. Przy dobrej logistyce można nawet wyjechać pociągiem wcześniej rano z Bratysławy, wejść na szczyt, z którego dobrze widać całe Tatry i Polskę, i przed nocą wrócić na pociąg do stolicy Słowacji.

JAKUB ŁOGINOW



Drogiej koleżance Tereni Pavláskovej, współzałożycielce i aktywnej członkini klubu w Trenczynie, z okazji jej życiowego jubileuszu składamy serdeczne życzenia zdrowia, energii, optymizmu, życzliwych przyjaciół i miłości najbliższych. Sto lat, Tereniu! Członkowie Klubu Polskiego w Trenczynie

Ogłoszenie

W imieniu redakcji programów mniejszości narodowych Słowackiego Radia zapraszamy przed radioodbiorniki (lub do Internetu) na publiczne nagranie

Za górami, za lasami, za Tatrami

Klubu Polskiego, które miało miejsce we wrześniu br. podczas koncertu w Dużej Sali Słowackiego Radia w Koszycach. Zapis całego wydarzenia zostanie wyemitowany **30 października br. (środa) o 19.00** na falach Radia Regina

Szkółka Piątkowa miejscem spotkań nie tylko dzieci



W ramach cyklu „Piękny trzydziestolatek”, w którym wspominamy początki działalności Klubu Polskiego, przynosimy rozmowę z Elżbietą Juranyi-Krajewską, którą przeprowadził Marek Sobek, także świadek tamtych wydarzeń, później prezes Klubu Polskiego w latach 2009 - 2012. Bohaterka tego odcinka naszego cyklu obecnie mieszka w Warszawie, ale w tamtym czasie była jedną z nas i brała czynny udział w powstaniu i działaniu Szkółki Piątkowej w ramach Klubu Polskiego

Elu, co robiłaś 30 lat temu w Bratysławie, czy brałaś udział w działaniach na rzecz powstania Klubu Polskiego?

Na Słowacji mieszkałam od 1978 r. Pracowałam w Wydziale Konsularnym Ambasady RP. Należy podkreślić, że do roku 1989 status prawny Polaków zamieszkałych na Słowacji unieвозмоżliwiał zrzeszanie się i organizowanie własnych stowarzyszeń. Przemiany społeczno-polityczne, które nastąpiły na Słowacji po roku 1993, dały początek działalności polonijnej. Pierwszą, nieformalną grupę polonijną utworzyli Polacy mieszkający w Martinie i okolicach. W tym samym czasie coraz większą aktywność wykazywały grupy Polaków zamieszkałych w Bratysławie i Koszycach.

Powstanie wtedy takiego stowarzyszenia było potrzebą czy naturalną kolejną rzeczą?

Grupy polonijne i Polacy rozrzucone po terenie całej Słowacji zaczęli nawiązywać kontakty między sobą, zawiązywały się nowe znajomości i przyjaźnie. Po wielu nieformalnych spotkaniach grup polonijnych, które odbywały się na przestrzeni kilku miesięcy 1993 r., zapadła decyzja o powołaniu organizacji polonijnej. Rejestracji dokonano 18 stycznia 1994 r.



W Bratysławie, Koszycach i Martinie odbyły się pierwsze konferencje, na których powołano oddziały regionalne i dokonano wyboru prezesów. W Bratysławie prezesem został wybrany Zbyhňev Stebel, w Koszycach Tadeusz Błoński, w Martinie Cezary Torebko. Pierwszy Kongres Klubu Polskiego odbył się 16 kwietnia 1994 r. w Bratysławie. Przyjęto na nim plan pracy oraz wybrano władze – prezesem został Ryszard Zwiewka, a stanowisko wiceprezesa objęła Elżbieta T. Dutková.

**Czy to było ważne dla Polonii?
Jakie było zaangażowanie
ambasady polskiej?**

Tak, było i nadal jest ważne. Od tego momentu Polonia słowacka ma swego oficjalnego reprezentanta – „Klub Polski”. Dużą pomoc i życzliwość zrzeszającym się w tamtym okresie Polakom okazał pierwszy ambasador RP na Słowacji prof. Jerzy Korolec.

**Jak powstawała Szkołka Piątkowa?
Gdzie się odbywały zajęcia?**

Kolejnym krokiem nowo powstałej organizacji polonijnej było powołanie do życia szkoły języka polskiego dla dzieci polonijnych, która we wrześniu 1994 roku rozpoczęła swą działalność. Początkowo działała tylko w Bratysławie. Pomieszczenia do nauki udostępnił Klubowi bezpłatnie ówczesny dyrektor Instytutu Polskiego Marian Grześczak. Po ogłoszeniu naboru zgłosiło się wielu chętnych i zaistniała potrzeba utworzenia dwóch grup: dla dzieci młodszych i dzieci starszych. Łącznie na zajęcia uczęszczało 25 dzieci. Naukę prowadziły dwie nauczycielki, rekrutujące się spośród środowiska polonijnego, Bogumiła Suwara-Marčok i ja. Szkołka stała się jednocześnie miejscem spotkań rodziców, przyprowadzających dzieci na zajęcia. Wiele osób miało okazję poznać swoich rodaków, wymienić uwagi i doświadczenia.

**Kto uczęszczał do Szkołki? Skąd ludzie
dowiadawali się o takich zajęciach?**

Dzięki zatrudnieniu w Wydziale Konsularnym miałam możliwość dotarcia do rodziców dzieci polonijnych. W dzień poprzedzający zajęcia informowałam telefonicznie rodziców o zajęciach. Dzieci spotykały się raz w tygodniu, w piątki. Pierwsze spotkania były trudne, zarówno dla dzieci jak i dla prowadzących. Okazało się, że dzieci były w różnym wieku (od 4 do 15 lat) i reprezentowały różny stopień zaawansowania znajomości języka polskiego.

W grupie młodszej znalazły się dzieci w wieku od 4 do 10 lat o różnym stopniu znajomości języka polskiego (od dobrze znających język, poprzez te, które rozumiały, lecz nie mówiły po polsku, oraz takie, które zupełnie nie znały polskiego). Do grupy starszej uczęszczały dzieci znające język polski i posługujące się nim w mowie i piśmie.

**Skąd czerpałaś inspiracje
przygotowując się do takich zajęć?**

Zajęcia prowadziłam w grupie dzieci młodszych. Z uwagi na duże zróżnicowanie znajomości języka, początkowo zajęcia odbywały się na zasadzie różnego rodzaju zabaw po polsku. Następnie korzystałam z pomocy naukowych i dydaktycznych, które przekazywało Szkółce Piątkowej Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Dzięki tej pomocy dzieci z braty-

sławskiej Szkołki Piątkowej uczestniczyły w wakacyjnych warsztatach językowych w Polsce, organizowanych dla dzieci z Europy Wschodniej.

Inną formą pozwalającą na doskonalenie znajomości języka, poznania polskiej historii i kultury, a także okazją do nawiązania kontaktów z rówieśnikami polskiego pochodzenia wywodzącymi się z innych obszarów kulturowych, był udział w obozach i koloniach letnich dla dzieci polonijnych, których organizatorem było Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

**Czy wiesz, co teraz robią
Twoi podopieczni? Czy nauka języka
polskiego coś wniosła w ich życie?**

Dziś moi byli podopieczni są osobami dorosłymi, mają własne rodziny, pracują zawodowo. Niektórzy z nich, dzięki znajomości języka polskiego, podjęli naukę na polskich uczelniach wyższych i są znakomitymi specjalistami w różnych dziedzinach.

Jak ten etap życia wpłynął na Ciebie?

Niezwykle sympatycznie wspominam tamten czas. Było to nowe, ciekawe i ważne doświadczenie.

**Co robisz dziś? Jesteś
w kontakcie ze słowacką Polonią?**

Ponieważ czas nieubłaganie szybko płynie, nie jestem już czynna zawodowo. Z okresu mojego zamieszkania na Słowacji zachowałam liczne kontakty towarzyskie z Polakami mieszkającymi nadal na Słowacji oraz słowackimi przyjaciółmi. Nie są mi też obce wydarzenia z życia Polonii słowackiej głównie dzięki „Monitorowi Polonijnemu”. To wspinałe i bardzo ważne, że nadal, po 30 latach tak prężnie działa „Klub Polski”. Tej prężności życzę z okazji jubileuszu na następne lata działalności na rzecz kolejnego pokolenia Polonii słowackiej.

**Elu, dziękuję za rozmowę
i zapraszam do udziału
w naszych imprezach polonijnych.**

MAREK SOBEK
prezes Klubu Polskiego
w latach 2009 - 2012



Chyba wszyscy znamy stosowany na całym świecie symbol uśmiechniętej buźki, czyli żółte kółko z dwoma kropkami, oznaczającymi oczy, i czarnym łukiem, oznaczającym uśmiechnięte usta.



Wyobraźcie sobie, że klasyczny smiley powstał w 1963 r., czyli już ponad 60 lat temu! Stworzył go Harvey Ball. 36 lat później ten sam człowiek stał się pomysłodawcą Światowego Dnia Uśmiechu, który

obchodzimy w każdy pierwszy piątek października. Po co nam w ogóle takie święto? By pamiętać, jak wielką moc ma uśmiech. Czy wiecie, że istnieje nawet osobna dziedzina nauki, poświęcona korzystnemu wpływowi uśmiechu na nasze zdrowie? Nazywa się gelotologia! Mam dziś dla Was jeszcze kilka takich ciekawostek.

UŚMIECHNIJ SIĘ



MIĘDZY NAMI



DZIECIAKAMI

Uśmiech jest zaraźliwy

Gdy widzimy, jak ktoś w naszym otoczeniu się uśmiecha, często też mamy ochotę się uśmiechnąć. To wcale nie przypadek, a sprawka naszego mózgu. Ma on zdolność odbijania (niczym lustro) emocji innych ludzi, przy czym dzieje się to automatycznie, bez naszej kontroli. To właśnie dlatego przebywanie w towarzystwie radosnych ludzi poprawia nam humor.

Uśmiech jest dobry dla zdrowia

Uśmiech rozluźnia, odstresowuje, zwiększa odporność organizmu, zmniejsza odczuwanie bólu, a według niektórych badań nawet... wydłuża życie! Całkiem sporo tych korzyści, prawda? A to wszystko dlatego, że gdy się uśmiechamy, w naszym mózgu obniża się poziom kortyzolu, czyli hormonu stresu, za to zwiększa się poziom endorfin, czyli hormonów szczęścia. Co ciekawe, nie ma znaczenia, czy śmiejemy się spontanicznie, czy zmuszamy się do śmiania. Nasze ciało nie widzi różnicy, więc tak czy siak poprawiamy swoje samopoczucie i zdrowie.



Uśmiech to naturalny... trening

Badacze wyróżniają 19 różnych rodzajów uśmiechu. Aby się uśmiechnąć, należy zaangażować od kilku do nawet kilkudziesięciu mięśni twarzy. Nie zapominajmy też jednak, że gdy śmiejemy się w głos, ćwiczymy nie tylko mięśnie twarzy, ale też... brzucha, pleców i klatki piersiowej! Niezły trening, prawda?

Wniosek zatem jest prosty – uśmiechajmy się jak najszerzej i jak najczęściej!

NATALIA KONICZ-HAMADA

Brzuchata piękność

Gruszki to dla mnie jeden z symboli jesieni. Czarują swoim kształtem, kolorami i smakiem, zachęcają wręcz, by eksperymentować w kuchni, tworząc rozmaite niebanalne dania.

W tym odcinku „Piekarnika” chciałam podzielić się z Czytelnikami swoimi pomysłami na gruszki – zarówno w wersji słodkiej, jak i wytrawnej.



Gruszki pieczone z dodatkami

SKŁADNIKI

- twardsze gruszki, przekrojone na połówki
- ser kozi lub camembert, może być też lazur lub gorgonzola
- pieprz kolorowy, najlepiej w młynku
- mały słoiczek żurawiny
- szynka włoska sucha – typu *prosciutto crudo* lub inna

Gruszki kroimy na połówki i wydrążamy gniazda nasienne. Skrapiamy sokiem z cytryny. Do powstałych łódeczek nakładamy porcje sera, solimy i pieprzymy, można posypać suszonym tymiankiem. Pieczemy około 15 min. w 180 stopniach. Po upieczeniu nakładamy na każdą gruszkę porcję (czubatą łyżeczkę)

żurawiny i trochę szynki. Można przygotować porcję vege – zamiast dodawać szynkę po upieczeniu posypać pokrojonymi orzechami włoskimi oraz poleć cienką strużką płynnego miodu. Tak naprawdę gruszki można nadziewać na rozmaite sposoby, te owoce lubią się z mięsem, serami i wyrazistymi przyprawami.



ZDJĘCIA: PHERE

Gruszki na słodko

SKŁADNIKI

- gruszki – przekrojone na pół i wydrążone
- 1/2 tabliczki białej czekolady
- sok z cytryny
- 100 g serka mascarpone
- cynamon, laska wanilii
- garść migdałów

Gruszki układamy w naczyniu żaroodpornym i skrapiamy sokiem z cytryny. Rozdrobnioną czekoladę i serek rozgrzewamy w garnuszku, dobrze mieszając, by uzyskać jednolity krem. Masę przelewamy do wnętrza gruszek, posypujemy przyprawami i posiekanymi migdałami. Pieczemy ok. 15 min. w temperaturze 180 stopni. Można podawać z lodami – dla mnie najsmaczniejsza jest ta wersja orzechowa.



To proste, ale ciekawe przepisy, w sam raz na pierwsze jesienne chłody. Smacznego!